



Handwritten signature or initials in the top right corner.



T R E Ś Ć

Obrota standardu — Powstanie — Gałęzia — Dzielnice prawniczej walki — Z kolonii — Jak znaleźć swój szlak — Hucisko, wiochy — O tym jak niegdyś bawianek miodem rzeźni — Dwaśt instytutu uczenia — Skąd się wzięł nasz globus — O zawiata wspaniałej ziemi — Słoń — Spółka harcerzy w płońcy Warszawa — Główna Warszawa — Z górski scienny — Na Górnolozną — Na urzędowi Małki Boskiej Górnoloznej — Polska a marze — Prędko — Przy kądzi — Myślano w dawnej Polsce — Legenda murawiska — Pyszałczka — Pyszałczka, ciekawo — Małki a białki — O kąpiach — Dwaśt rzeźniak — Rzeczy ciekawe — Jak zbudować białki — Krowka.

NA FUNDUSZ WYDAWNICZY ZHP NA WSCHODZIE wpłacił:
 Kunc Zygmunt L. P. 0.500 — Garmulewicz Bogusław L. P. 0.712 — Krąg Fryca L. P. 0.188 — Młodziecki Zbigniew L. P. 2.000 — Wróblewski Józef L. P. 3.000 — Borodako Gabriel L. P. 2.000 — K. P. H. Teheran L. P. 00.083 — ppor. Korzenowski L. P. 1.000 — Boruszewski Władysław L. P. 0.500 — Szybisz Władysław L. P. 1.000 — Krąg Kresowiaków L. P. 4.000 — Gabrył Karol L. P. 1.000 — Stec Jan L. P. 2.000 — Kozłol Ignacy L. P. 0.700 — Ks. Oikiewicz Alfred L. P. 1.000 — Hufiec w Hundzie Zofia Niedł L. P. 4.300 — Lipiak Jan L. P. 1.000 — Drzemczewski Stanisław L. P. 0.700 — Dussll Zuzisław L. P. 0.500 — Kpt. Pawlak L. P. 1.700 — Dyr. Pol. Y. M. C. A. p. Hulancki L. P. 100.000 — kpr. pdch. Jaskorzynski Zdzisław L. P. 1.000 — plm. Kołodziejski Zdzisław L. P. 0.400 — plm. Kaczorowski Ryszard L. P. 0.400 — ppor. Wachowski Alfred L. P. 1.000 — dh Wielecki Paweł L. P. 0.800 — Hufiec Valiyade - Indie L. P. 0.000

*BANK POLSKA KASA OPIEKI S. A. — BANK P. K. O.
 ZASTĘPUJE BIURO OSZCZĘDNOŚCI ŻOŁNIERZY A. P. W. —
 PRZYJMUJE DEPOZYTY NA WARUNKACH B. O. Ż. — PRZYJMUJE
 I WYPŁACA WKŁADY Z KART OSZCZĘDNOŚCIOWYCH
 ORAZ ZALĄGWA WSZELKIE CZYNNOSCI BANKOWE
 TEL. - AVIV. ALLENBY STR. 95.*

REDAGUJE KOMITET W SKŁADZIE:
 hm. Józef Brzezitski, hm. Inż. Bronisław Pauciewicz,
 hm. dr Wiktor Szyrylski, hm. Józef Żuronski

Redaktor działacz harcerski Stanisław PANEK

Linoryty: artysta malarz Tadeusz TERLECKI

WYDAWCA: ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO na WSCHODZIE

ADRES: Polish Forces Middle East 10

Zasług: IRAN — AFRYKA — INDIE — NOWA ZELANDIA — EGIPT —
 PALESTYNA — SYRIA — WŁOCHY

Odbito w Drukarni oo. Franciszkanów w Jeruzolmie. Dyrektor oo Franciszek



OBRONA SZTANDARU POWSTAŃCÓW W S T Y C Z N I U R O K U 1 8 6 3

*I poszli. Puszcza śpiewa
i gra poważny las,
sztańdarem wiatr powiewa,
kolysze raz po raz.
A pod sztańdarem garstka
bijących, żywych serc
i sztańcem dla sztańdaru
ofiarniej młodzi pierś.
Dygoce grozą puszcza,
poważny szumi las,
moskiewskie biją kule
w powstańców raz po raz.
W sztańdarze Matka Boska
drży o powstańców los,*

*z Jej oczu łzy spływają,
jak wielkie krople ros.
Krew płynie, świszczą kule,
lecz sztańdar w górze tkwi,
upadnie, chyba jeno
z ostatnią kroplą krwi.
W rozpacznej może chwili,
gdy raz zachwieje się,
czyjś go zerwą ręce,
na wierną skryją pierś.
Uniesie żołnierz - tulacz
przez bitem żgielek i gwar
zerwany strzęp sztańdaru,
jak najcenniejszy skarb.*

W. MALICKA

POWSTANIEC

*Długie lata mówiło się u nas: „powstaniec”,
Czyli wolność i walka, pólszepty i troski,
Warszawa podchorążych, roгатki i szaniec,
Małogoszcz, gdzie się rąbał z Moskałem Czachowski.*

*Gdy tylko drogi w słotnej rozmokły jesieni
A ptak gdzieś w nocy krzyknął, słuch Polak otwiera —
Wiedzieliśmy z dzieciństwa: zapuka ktoś w sieni
I wejście nieznaomy z obrazu Grottgera.*

*Ballada czy testament, cokolwiek to było,
Jak przeraźliwie dzisiaj odgrzebać te leża,
Gdzie stary proch butwieje pod leśną mogiłą
I młoda kość odpada spod hełmu żołnierza.*

*Jak trudno — ach, daremnie tłumaczyć to komu
Skąd matki w nas tę siłę przeniosły bezwiedną,
By, gdy już wszystkie drogi nam zamkną do domu,
Nie przestał dalej szukać i wejść jeszcze jedną.*

*Osaczonym, co przeszli pół ziemi swą stopą,
Dziś nam znów się zwoływał i szukać gdzie szaniec;
Śród głuchej puszczy świata, zdradziecką Europą
Chodzić Polsce jak lasem też chodził powstaniec.*





WICEPRZEWODNICZACY RADY
ZHP NA WSCHODZIE

GAWĘDA

*Walka o wolność gdy się raz zaczyna
z ojca dziedzictwem przechodzi na syna*

Było to dwadzieścia pięć lat temu. Po sześciu latach wędrówki po Rosji i ciężkich zmaganiach o życie, znaleźliśmy się wreszcie w swoim domu.

A chociaż nie walczone na frontach, to jednak czasy były niespokojne. Drobne utarczki zbrojne na wschodniej granicy Odrodzonej Polski były zjawiskiem codziennym.

Wolno i z wielkim wysiłkiem dźwigała się Polska z długoletniej niewoli i w największym trudzie leczyła rany, zadane Jej przez toczącą się na naszych ziemiach wojnę.

Było to dawno. Jednak tamte czasy stoją mi przed oczami bardzo żywo tak, jakby to było wczoraj.

Zima roku 1921 była w pełni. Śnieg grubą warstwą pokrył pola a drzewa gięły się pod jego ciężarem. Mróz srogi panował wszechwładnie.

W domu zawsze było ciepło i pogodnie. Na kominku wesoło pali się ogień, przed którym siadywał stary dziadek, wpatrzony w jego złote płomienie.

Codziennie, kiedy skończyłem odrabianie lekcji i inne zajęcia w obejściu, przychodziłem z bratem do dziadka. Siadaliśmy przy kominku, a on opowiadał nam historię swego udziału w powstaniu 1863 roku.

Kiedy mówił o tamych odległych czasach, ożywał się bardzo, a choć był już stary wyglądał młodzieńczo tak, jakby to, co mówił, działo się zaledwie kilka dni temu.

Słuchaliśmy tych opowiadań w głębokim skupieniu. Zapatrzeni w twarz opowiadającego, chłoniliśmy każde jego słowo, bojąc się poruszyć, aby nie spłoszyć tych obrazów, które przed nami stawały jak żywe.

Po prostu przeżywalismy wraz z nim jeszcze raz to wszystko, co on kiedyś sam przeżył, co kiedyś swym wysiłkiem młodzieńczym tworzył.

Cieszylismy się, kiedy powstańcy odnosili zwycięstwo i smucili, kiedy przebieg potyczki nie był dla nas pomyślny.

Dziadek opowiadał długo i ciekawie, spoglądając od czasu do czasu na wiszącą na ścianie strzelbę, z którą przeszedł powstanie.

Z opowiadań tych najbardziej utkwiła mi w pamięci historia jednej potyczki w Górach Ponarskich, kiedy to mały oddział powstańców wciągnął w zasadzkę liczniejszy i lepiej uzbrojony oddział Moskali i zniszczył go.

Minęły lata. Życie w Polsce płynęło spokojnie i radośnie. O złych czasach niewoli i wojny zapominaliśmy coraz bardziej.

Polska krzepła i pęteźniała, a my młodzi rośliśmy w atmosferze innej, niż nasi ojcowie i dziadowie.

W piętnaście lat później byłem drużynowym jednej z drużyn harczerzy w Wilnie, której patronem był Sierakowski, bohater powstania. Dzień wybuchu powstania był świętem drużyny. Obchodziliśmy go uroczystie. Odbywały się wtedy całodzienne ćwiczenia za miastem. Wieczorem paliliśmy ognisko, przy którym odbywała się uroczystość składania przyrzeczenia harcerskiego. Po całodziennych harcach i ognisku opuszczaliśmy Góry Ponarskie i ulicą Legionów wracaliśmy do centrum Wilna. Po drodze każdy głęboko przeżywał niedawne harcerskie uroczystości ku czci powstańców, a ja zawsze przypominałem sobie opowiadanie dziadka o potyczce w Górach Ponarskich.

Jak wiecie, rocznica powstania 1863 roku przypada w styczniu. Powstanie to jest symbolem buntu Narodu Polskiego przeciw gwałtom i niewoli. Świadczy ono, jak bardzo Naród Polski kocha wolność. W 1863 roku wielu porzuciło wygodne i spokojne życie i poszło w lasy, aby z bronią w rękę przeciwstawić się zaborey. Woleli trud życia obozowego, chłód zimy polskiej a nawet śmierć, niż życie w niewoli.

Pamięć tamtych czasów i bezprzykładne bohaterstwo powstańców

musi być dla nas dziś wiecznie żywym przykładem prawdziwego patriotyzmu.

Styczeń jest pierwszym miesiącem roku. Stając na progu Nowego Roku, musimy zastanowić się, czy okres ubiegłych dwunastu miesięcy spędziliśmy pożytecznie i w Nowy Rok wchodzimy zasobniejsi w wartości charakteru, czy też rok stary był rokiem, który zmarnowaliśmy w naszym życiu. Każdy z nas musi się nad tym dobrze zastanowić i zdać sobie sprawę, czego chce dokonać w nadchodzącym roku.

Żyjemy w niezwykle trudnych czasach. Z dala od Ojczyzny, rozrzuceni po świecie.

Jedni spośród nas z bronią w ręku wyrębują drogę do Polski w pełni suwerennej, inni w trudzie pracy codziennej sposobią się, aby być dobrze przygotowanymi do zadań, które czekają nas przy odbudowie Ojczyzny. Walka ta jest ciężka i ościarna, a praca będzie trudna i znojna. Wielu spośród walczących już poległo, wielu jeszcze padnie, znacząc grobami swymi drogę, którą kroczy Naród Polski do swej niepodległości.

Rok ubiegły był dla nas Polaków rokiem ciężkiej próby. Rok, który idzie, nie wroży, abyśmy mieli mieć mniej przeszkód i trudności. Na pewno nie mniej trzeba będzie wykazać silnej woli, hartu ducha i pogody. Trzeba z tego zdać sobie sprawę. Trzeba na to być przygotowanym.

Kiedy patrzę wstecz na nasz harcerski dorobek, muszę z radością stwierdzić, że praca Wasza w drużynach była owocna, że wyników tej pracy nie musicie wstydzić się przed tymi, co walkę w polu prowadzić mogą. W pracy naszej w roku ubiegłym tak, jak i w roku nadchodzącym, myślą przewodnią była i będzie służba Polsce z bronią w ręku lub sposobienie się do niej.

Mimo licznych trudności potrafiłszy zachować linię, którą nam dyktuje Prawo i Przyrzeczenie Harcerskie. Umieliśmy z pogodą pokonać wszystkie przeszkody, aby nie zboczyć z drogi ideałów harcerskich.

Kiedy myślą naprzód wybiegam, to chcę, abyśmy wszyscy razem powiedzieli sobie, że praca nasza w tym Nowym Roku — ta osobista jak i zbiorowa — nie będzie gorsza od tej, jaką wykonaliśmy w roku ubiegłym, że starczy nam sił do pokonania wszystkich trudności, które piętrzyć się będą przed nami na drodze do prawdziwie Niepodległej Polski.

Mocna wiara w słuszność Sprawy doda nam mocy do walki na wszystkich frontach, a harcerski dynamizm nie pozwoli na bierne oczekiwanie, co przyniesie los, lecz da nam siłę do podjęcia akcji w kierunku realizacji tych zamierzeń, które są zgodne z duchem naszej harcerskiej ideologii, opartej o służbę Bogu i Polsce.

Aż przyjdzie dzień, kiedy sprawdzi się powiedzenie:

WYTRWAŁYM ZWYCIĘSTWO

Zygmunt SZADKOWSKI, hm.



*Oj, nie zginęła jeszcze Ojczyzna,
Póki niewiasty w niej czują,
Bo z ich to piersi płynie trucizna,
Którą wrogowie się trują.*

*Jeszcze wykarmią one w sycizy
Grono olbrzymie młodzieży,
Od nich pacholę o nas usłyszy
I jak my w Polskę walczy.*

DZIEDZICE PRAWDZIWEJ WIELKOSCI

Róbcie sobie co chcecie. Narzekajcie na mnie. Powiedzcie, że jestem historyk do niczego, że nie uznaję powag historycznych i idę wbrew ogólnie przyjętej opinii, a ja wam mówię, że skromnym swoim zdaniem wolę powstanie styczniowe od listopadowego...

Wiem, wiem... Już słyszę wszystkie wasze zarzuty... W r. 1830 mieliśmy armię własną, w której szeregach w dodatku nie brakło nawet napoleońskich wiarusów, mieliśmy wodzów, którzy przeszli przeszkolenie od Hiszpanii (jeżeli nie od Egiptu) po Moskwę, a przeszli je pod okiem Napoleona... Ba, ba, czegośmy wtedy nie mieli!... I przetrzymaliśmy dokładnie aż 10 $\frac{1}{2}$ miesięcy, z czego co najwyżej pierwsze dwa i pół zmarnowaliśmy w zupełnej bezczynności.

A w r. 1863 nie mieliśmy istotnie nie tylko własnej armii, ale i poszczególnych fachowców wojskowych. Najwyższa szarża w przeddzień wybuchu powstania była aż szarża kapitańska. Uzbrojenie składało się nie z armat i nie z karabinów, tylko przeważnie z dubeltówek, szabel, kos i... drągów. Wszystko to prawda, a przecie powstanie w tych nieszczęśliwych warunkach przetrwało ponad 20 miesięcy i ogarnęło nie tylko etnograficzną Polskę, ale przejściowo Ruś, a bardzo poważnie Litwę z nieznaną mowy polskiej Żmudzią... Nie wiem, jak wam się to podoba, ale mnie te oddziały czysto żmudzkie, które słowa po polsku nie umiały a o Polskę się biły, nie tylko imponują, ale one mnie szczerze wzruszają.

Piękna była obrona Warszawy we wrześniu 1939. r., przeprowadzona fachowo i po bohatersku utrzymana do kresu ostatnich możliwości. Lecz bardziej jeszcze od niej wzrusza mnie ten zryw, zdaniem niektórych wariacki, bezsensowny, na jaki pod generałem Borem zdobyło się to miasto teraz, na przełomie piątego roku wojny. Analogie historyczne nigdy nie grzeszą ścisłością.

Lecz ta analogia może wam coś powie.

Jest wielu ludzi, którzy w powstanie styczniowe rzucają często kamieniem potępienia. Zarzut ogólny: był to zryw nad siły, przedsięwzięcie skazane na niepowodzenie od pierwszych swoich chwil, innymi słowy, po prostu „porywanie się z motyką na słońce”, bo przedwczesne, przedwczesne, po prostu przedwczesne.

Znamy tę zarzut. Rozbrzmiewał on głośno przed nieszczęściami. Na falach eteru dzień po dniu płynął z Moskwy, jako oskarżenie zbrojnej akcji gen. Bora... I słuszność jego w obu wypadach jest identycznie taka sama, to znaczy — nie ma jej wcale.

Czy powstanie styczniowe było naprawdę czymś nieobmyślnym, niedojrzałym?

Nawet nasi własni historycy starali się w nas to wmówić, bo częste ludzie po fakcie rozumują: nie udał się, a więc był niepotrzebny. Tym czasem inicjatorzy powstania styczniowego, rozpoczynając je, mieli naprawdę plany i oparli swą akcję na wcale solidnych podstawach.

Planując rozpoczęcie powstania styczniowego, inicjatorzy czyli tzw. „Czerwoni“ oparli się na szerokich kontaktach z rewolucyjnym ruchem rosyjskim pod nazwą „Ziemia i wola“. Istniała ścisła łączność i porozumienie między lokalnymi władzami powstania a oficerami garnizonów rosyjskich, należących do tej organizacji. Wybuch powstania miał zapewnioną pomoc, miał się nawet stać hasłem do ogólnego ruchu na terenie imperium Rosji. Obietnice zawiodły, tak, naturalnie zawiodły. Mniejsza o to, z jakiego powodu. Czy dlatego, że spiskowcy wojskowi zostali w ostatniej chwili przewiezieni w głąb Rosji, czy też dlatego, że „ruszyło ich sumienie“, skutkiem czego stchórzyli i zdradzili?

Ja wam nie sugeruję, ale analogia z sierpniem 1944 roku nasuwa się chyba wyraźnie.

A potem? Potem „Czerwoni“ poczuli się bardzo zgnębieni. Lecz w sukurs natychmiast przyszli im dotychczasowi ich przeciwnicy — „Biali“.

Powstanie było niepotrzebne, zgoda — mówili oni. — Ale już wybuchło, trzeba je więc podtrzymać i rozszerzyć... W tym celu zaś potrzeba zwrócić się do Zachodu.

I rozpoczęły się zabiegi dyplomatyczne, i w Anglii, i we Francji, z prośbą o pomoc i z wiarą, że się pomoc uzyska... Pomoc nadeszła w formie interpelacji, złożonej przez te rządy rządowi rosyjskiemu.

Była to pomoc istotnie aż za mało niewystarczająca. Jak „Czerwoni“ na szerości Rosjan, tak się „Biali“ zawiedli na konkretnej pomocy Zachodu. Lecz i jedni i drudzy obliczali realnie i wiara ich w zwycięstwo miała nie tylko duchowe podstawy.

Oczywiście, powstanie to nie jest bez grzechu i zarzucić mu można w szczegółach niejedno. Lecz w ogólnych zarysach, jako ruch wyzwolenny, przeważa swym tragizmem, imponuje wielkością. Przy tym, ile naprawdę wy dobyło ono na jaw dodatnich cech charakteru naszego, których my sami w sobie często nie spostrzegamy, a przez to i nie rozwijamy.

Często się samooskarżamy twierdząc, iż nie jesteśmy zdolni do organizacji. Rok 1863 zadaje temu kłam: organizacja była wspaniała. Rząd Narodowy działał w Warszawie pod bokiem wroga i przez szereg miesięcy nie został wykryty. Z Warszawy kierował oddziałami, rozsiłanymi na wielkich przestrzeniach, a rozkazy jego wszędzie — mimo trudności nad siły ludzkie — potrafiły dotrzeć. Często twierdzimy, że nasza gadatliwość uniemożliwia nam zaskakiwanie wroga. Ale

wtedy nie było właśnie gadatliwości. Wróg został zaskoczony już w noc wybuchu powstania i był zaskakiwany raz po raz. Zdolność do utrzymania tajemnicy była tak wielka, że nawet śledztwa popowstaniowe, prowadzone przez władze rosyjskie dobrze nam znaną metodą, pełni składu Rządu Narodowego i zmian w nim zachodzących wykryć nie zdołały... Wreszcie, najczęściej zarzucamy sobie brak dyscypliny i niezdolności do podporządkowania się. Ale czy brakiem dyscypliny można nazwać to, iż tajemniczy — dla ogółu bezimienny — ów Rząd Narodowy miał istotnie w narodzie całkowity posłuch?

Taka sobie — pieczęć Rządu Narodowego — na cieniuchnej bibułce, aby łatwiej przechować i ukryć się dała. Na pieczętce Orzeł Biały, Pogoń Litewska i św. Michał Archanioł, herb Rusi — wspaniały dowód, że ludzie ówczesni pojmowali doskonale, kto komu brat i kto z kim iść powinien... Wędruje ta pieczęć z kieszeni do kieszeni, a jeśli ktoś nią obdarzony ukaże ją pierwszemu lepszemu obywatelowi polskiemu, tamten ostatnich wydobędzie siłę, by polecenie, poparte powagą Rządu, wykonać.

Czy to nie imponuje i czy nie słusznie Józef Piłsudski w rozważaniach swych o r. 1863 mówi:

W wielkiej epoce wielkość być musi... Gdzie wielkich w takich czasach zabraknie, ludzie szukają symbolu siły, symbolu swej wartości... W r. 1863 istniał taki symbol, który silnie, ba — nieraz wszechwładnie — panował nad ludźmi. Była nią pieczęć — pieczęć Rządu Narodowego!

Jeszcze raz myślą przebiegam powstanie styczniowe i zestawiam je z listopadowym. I oto na myśl mi się nasuwa nowa analogia do dni dzisiejszych.

My tu na tzw. emigracji mamy, jak w dobie listopadowej, wojsko, broń, wyszkolenie, wodzów doświadczonych. Oni tam, jak w styczniowym, prawie „dragalierzy“, a przecie moc — moc duchowa — już imponuje światu.

Oni — dziedzice prawdziwej wielkości!

Dr Walerian KWIATKOWSKI



JAK JEZUSEK BAWIŁ SIĘ Z PTASZKIEM

Krótki dzień grudniowy kończył się szybko. Niebo zapaliło się purpurą. Rozgorzałe obłoki wędrowały, jakby płomienni aniołowie szli po niebie, aby gorejącą jasność zanieść w nadciągające mroki. Biel, leżąca grubą warstwą, skrzyła się, migotała wszystkimi barwami, zdawało się, że to zmarzła tęcza rozprysła się i zasypała śnieg.

Wszystkie drogi zawiane, ani dobrnąć. Zresztą nikt nie podjął w tę stronę. Ścieżynę wydeptywał zwierz leśny, wędrujący od wsi do lasu. W tej pustce zrywał się tylko samotny ptaszek i ćwierkał pomiędzy gałkami.

Drzewa; obarczone zaspami, podobne były do utrudzonych wędrowników, dźwigających na barkach ciężar, który chyba dopiero wiosną zdejmie. Wśród tych drzew stała kapliczka zgrzybiała, postawiona przed laty przez ludzką pobożność, a teraz obwieszona przez mróz sopłami, oblanymi światłem gasnącym. W zacienionym wnętrzu stała Matka Boska z małym Dzieciątkiem, wyciągającym rączki do wsi, widniejącej w oddali.

Od wczesnej wiosny do późnej jesieni ptaki krzątały się w tym zakątku i Matce Boskiej wyśpiewywały: „Kiedy ranne wstają zorze”.

I w dzień i wieczorem tak samo. Z przeróżnych, radosnych głosów i z barw swego upierzenia wiły nigdy niekończące się wieńce i zawisały na gałęziach.

Latem kwitły tu słoneczne dni. W jesieni kapliczka stała w złoci, jakby w płomieniach, buchających z ziemi. Królewski płaszcz ze słonca i purpury rozpadał się, strzępił i zmieniał się w zebracze tachmany. Czasem liść uroniony sphywał na dłoń Chrystusika. Wtedy zdawało się, że to śliczny ptak zleciał i złoci się i szeleści.

Przeminały dni pogodne. Już tylko jarzębinowe kłęby czerwienią się wśród ogołoconych gałęzi. Potem nadsięgnęły chmury, szarugi pograżyły świat w płaczu. Zimny wiatr rozniósł skrzydlate gromady, porozrzucił ku śpichlerzom, ku domom, stodołom, gdzie łatwiej znaleźć pożywienie, gdzie łatwiej można mieć ciepłe schronienie. Z licznej rzeszy pozostał tylko jeden ptak. Nie dlatego, żeby nie miał gdzie indziej kryjówki. Nie. Siadał na ramieniu Matki Bożej, to na dłoni Chrystusika, ćwierkał mimo szarug, mimo zadynek i mrozu, jakby Bożemu Dzieciąciu opowiadał śliczne powiastki.

— Cir - ćwir...

Tą ubogą nutą mógł wyjawic najpiękniejszą tajemnicę serca. Codziennie nucił swoje piosenki i jak mógł rozweselał pastelną śnieżną. A Jezusek wyciągał rączki i chciał coś rzec.

Teraz barwy gasty. Szary cień powlekał świat, jeszcze niedawno tak błyszczący.

Już dzień skończył się.

Przestrzeń jasności słońca zajmował zmierzch, szybko spływający między drzewa. Już tylko na zachodzie płonął rumieniec, jakby zaszło słońce różowym uśmiechem witało jedyny wieczór, wybrany spośród wszystkich trzystu sześćdziesięciu pięciu.

— Wigilia!

Robiło się coraz mroczniej. Nadciągał mróz. Im bardziej ubywało światła, tym był sroższy, tym okrutniejszy. We wsi trzaskały gonty na dachach. Na szybach kształtowały się czarodziejskie kwiaty, utkane przez baśń zimową z promieni przemarzniętych.

Pomiędzy kapliczką a ludzkimi siedzibami rozprzestrzeniała się pustka, cisza i mrok, słabo obielony odblaskiem śniegu.

Wybłysła pierwsza gwiazda, święta, betlejemka, która od wieków wieków tyle radości daje, obdarzając błogosławionymi promieniami nawet najbiedniejszych, najbardziej pokrzywdzonych, a mimo to, zawsze jest jednak jasna, zawsze niewyczerpana.

Czasem rozległ się trzask, jakby ktoś sople łamał i ciskał w ciszę.

Zwierzęta szukały kryjówek przed mrozem, niektóre ciągnęły ku wsi, gdyż w wieczór wigilijny wszystkie stworzenia bratają się z człowiekiem i przemawiają ludzką mową.

Mignęła gromadka saren. Prześlizgnęła się kuna. Lis zamiótł swoją pyszną kitą rozproszone odpryski śniegu. Zając kicał w swoje strony. Zatrzymał się przed kapliczką, stanął słupka i zamrzczał wesoło:

— Wszak nie wykroczę,
kiedy wyskoczę.
Rączkami tup, tup,
nóżkami tup, tup,
uderzę.

I radując się, że Boże Dziecię ucieszył, pomknął ku sadom.

Nasz ptak skakał po gałązkach, sfrunął na figurę i przytulił się, jakby chciał zawinąć się w fałdy Matki Bożej.

Jednak fałdy były twarde, z drzewa wyciosane.

Gdzieś rozlegały się kolędy, które chyba z nieba po strumieniach gwiazdy betlejemskiej schodziły do chat i do serc ludzkich.

Coraz weselej było na świecie. Śpiew przelatał po ulicach:

— Niechaj tak będzie, jak i przedtem było,
ażebym z wody wino się robiło.

Wszystkie domy we wsi zatłoczone były jasnością, weselami i śpiewem. Tylko tutaj cisza, opuszczenie i zimno. Nikt nie pamiętał o kapliczce.

Tam tyle drzewek kwitło, dzieci miały tyle radości, a tylko Jezusek pod lasem stał sierocy, zziębnięty i daremnie wyciągał rączki do pustej przestrzeni.

Tylko ptak przelatywał i wciąż jednostajnie ćwierkał, cieszył i rozweselał.

Wiatr, błakający się pomiędzy zaroślami, strącał zatajone liście, podrywał się ze śniegu, miotał kurzawę i ciął, smagał kostniejącym biczami. Zdawało się, że Matka Boża, odziana w chustkę, jak bezdomna komornica, drży za każdym powiewem i przytula coraz mocniej Dziecię, które na Jej piersiach zatrzęsło się i cicho się poskarżyło:

— Matusi!

— Co ci, Dziecię?

— Zimno! — jedno słowo sfrunęło, jakby śnieżynka zwiana z warg. Matka chuściłą otuliła.

— Nie płacz... rozgrzejesz się.

Wzięła rączki w dłonie, chuchała. Ale nijak nie mogła utulić, ani ogrzać.

Wtem nadleciał ptak i zagrał w pustce barwami swymi.

Chrystusik dojrzał go, uśmiechnął się i wskazał palcem.

— Ptaszek!

Matka Boska też uśmiechnęła się.

— Ładny. Chcesz się pobawić?

— Cobym nie chciał? — wyciągnął rączki.

Matka Boska chwyciła ptaka i oddała go radującemu się Synowi, jakby kłębek zorzy spadłej z nieba.

Gałęzie pobliskich świerków uginały się pod ciężarem śniegu. Każdy ustrojony w biel. Brakło tylko świecidełek, lampek, a rozmigotały, rozgorzały w tym pustkowiu, jakby na drzewku bożym.

W kapliczce samotnej, z dala od świata Chrystus malusieńki w mroźną noc wigilijną głaskał ptaszka, który Mu wesoło ćwierkał swoje ubogie cir, ćwir.

Jan WIKTOR

HUCZCIE, WICHRY!

*Huczcie wichry, sypcie w oczy
śnieżnymi tumanami!*

*Naszym sercom lęk nieznanym,
trwoga nas nie mroczy.*

*Chociaż zakut mróz w okowy
odrętwiała ziemię,
wiemy, że w niej siła drzemie,
że świt przyjdzie nowy!*

*Huczcie, wichry! Nie zgłuszycie
w sercach naszych wiary,
że nadejdą wiosny czary,
że zbudzi się życie.*

*Naszej wiary nie nie mroczy,
życiom nadzieję.*

*Huczcie wichry, huczcie! W sercy
miotajcie zawziętą!*

Alina KWIECIŃSKA

O TYM JAK ŚNIEGOWY BAŁWANEK NABRAŁ ROZUMU

Wczesnym zimowym rankiem szło do szkoły troje szkolnych dzieci: Jaś, Staś i Michalinka.

Idą, teczkami wymachują i rozglądają się.

— Piękny czas dzisiaj — powiadają uradowani. — Śniegu świeżutkiego dokoła pełno. Mrozu tylko tyle, co potrzeba. Wiatru ani odrobinki. A do rozpoczęcia lekcyj całe pół godziny. Zatrzymajmy się tutaj i ulepmy bałwana.

Raz — dwa! Wzięli się wszyscy troje do roboty. Chłopcy taczają trzy śniegowe kule: jedną kulę dużą, drugą kulę małą, trzecią kulę jeszcze mniejszą i najokrągłąszą.

Z tej pierwszej — będą bałwankowe nogi. Z tej drugiej będzie bałwankowy tułów. Z tej trzeciej będzie bałwankowa głowa.

— Hurra! — Jaś i Staś skończyli swoją robotę. Teraz Michalinka szuka oczu, nosa i ust dla bałwanka.

Znalazła pod śniegiem dwa ciemne kamyki — to będą bałwankowe oczy. Wyjęła z teczki okrągłą gumkę — to będzie bałwankowy nosek.

Poszukała w kieszonce swetra — znalazła maślany rogalik! To będą bałwankowe usta. Gdy się wetknie rogalik różkami do góry — bałwanek będzie się śmiał. A gdy rogalik przekreśli różkami na dół, bałwanek będzie miał buzię w podkówkę. Znaczący: jest smutny, płacze.

Na teraz uradziły dzieci, że trzeba wetknąć rogalik różkami do góry: niech się bałwanek cieszy!

Więc cieszy się bałwanek. I jak jeszcze się cieszy! Sam pęka ze śmiechu i dzieci do śmiania się pobudza. Aż rozochocony Jaś zdjął z głowy nowy berecik z pomponem i ustroił bałwanka:

— Teraz dopiero piękny! Patrzcie i podziwiajcie!

Pół godziny wesołej zabawy minęło, jak jedna minutka.

— Czas, czas na lekcje! Żegnaj, bałwanku!

Ale co to? Śniegowy bałwanek w krzyk, w płacz, i rusza z miejsca za dziećmi.

— Nie zostawiajcie mnie tutaj samego! Weźcie mnie z sobą! — prosi i dwie prawdziwe łezki kap — kap bałwankowi po śniegowej buzi.

Naturalnie, dzieci natychmiast się zatrzymały. Bardzo im żal bałwanka.

— Jeszcze się cały od tego płaczu roztopi — powiada Michalinka. — Co tam, weźmy go ze sobą do szkoły. W szkole dzieci dziewięćdziesięcioro, to jeden bałwanek więcej też się zmieści.

— Ano dobrze.

Wzięły dzieci bałwanka pomiędzy siebie i maszerują.



*Zima,
wielka pani,
szwada
już do sani.*

*Stary
mróz powozi.
O! już
szczypte, mrozi.*

Już z daleka widać szkołę...

Już widać szkołę z bliska.

— Śpiesz się, bałwanku, bo już po dzwonku!

— Siądziesz ze mną na pierwszej ławce przed tablicą — powiada
Juś.

— Albo ze mną, pod oknem — Staś zaprasza.

— Albo koło mnie przy piecu — ofiarowuje się Michalinka.

— Ou, bieda, kiedy piec jest w klasie i do tego pewnie gorący!
Nawet do końca pierwszej lekcji nie dosiedzi tam bałwanek. Roz-
topi się tak, że po nim tylko mokre miejsce zostanie.

Nie, nie! Lepiej nie ryzykować.

I bałwanek rad nie rad zatrzymał się przed szkołą.

Trudno. Rozstać się trzeba. — Żegnajcie, dzieci!

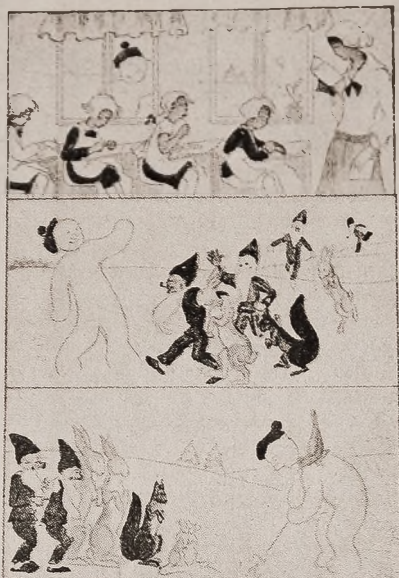
— Bywaj zdrow, bałwanku!

Zasiadły dzieci w klasie, a ich śniegowy przyjaciel przez okno do
klasy zagląda.

Przygląda się, słucha, słucha...

*Wicher
w palec dmucha.
Nie wdział
dziś kożucha.*

*Siada
obok zimy:
— Prędko
wypruszymy?*



Bardzo ciekawe rzeczy słyszy! Toteż przez wszystkie lekcje stał przy oknie z noskiem, przyciśniętym do szyby. A gdy dzieci po skończonej nauce rozeszły się do domów, by opowiedzieć rodzicom, czego się nauczyły w szkole, nasz bałwanek pobiegł w te pędy do lasu. Tam zwołał krasnoludki, zajączki, myszki polne, wiewiórki i wszystkie stworzonka, które pod ten czas były w lesie.

— Chodźcie tu, bracia, chodźcie! Nauczę was tego samego, czego się ludzkie dzieci uczą w szkole.

Któż stworzenie nie chciałoby umieć tego co ludzie? Otoczyły stworzonka śniegowego bałwanika i zaczęła się nauka.

Jeżeli tylko starczy pilności i wytrwałości uczniom, a wiadomości nauczycielowi, to oba krasnoludki, zajączki, wiewiórki i myszki szybciej przejdą do następnej klasy, niżli szkolne dzieci.

W każdym razie o ich postępach w nauce będziemy mogli dowiedzieć się od Jasia, gdy bałwanek odniesie mu w niedzielę berecik i przy sposobności opowie wszystko o tej leśnej szkółce.

E. S.

DOMEK ŚNIEŻNYCH ZUCHÓW

— Dzisiaj będzie zbiórka „Śnieżnych Zuchów“, pamiętacie? — rzekła Zosia, gdy się kończyła ostatnia lekcja.

Naturalnie, że wszystkie pamiętają.

Drużynowa zapowiedziała, że dzisiaj zuchy zbiorą się na pustym polu za parkanem i tam mają coś zrobić „śnieżni ludzie“... Ale co?

Poleciała też wziąć saneczki i nawet dziewczynki dziwiły się po co, bo tam przecież nie ma żadnej pochyłości.

Ale, ponieważ drużynowa powiedziała... Henia z Zosią chwyciły za sznurek przyczepiony do saneczek i pomknęły szybko małymi uliczkami prowadzącymi ze szkoły do onego pustego pola. W lecie była to łączka porośnięta tu i owdzie krzakami i wikliną, teraz wyglądała, jak bezkresna śnieżna pustynia.

Koło większego krzaku, który odcinał się ostro na tle bieli śnieżnej zgromadziły się już prawie wszystkie zuchy. Henia i Zosia ledwo zdążyły dobiec z saneczkami, gdy zjawiła się drużynowa, druhna Wanda.

— Śnieżni ludzie zbudują sobie dom ze śniegu — powiedziała dhuś Wanda. — Ot tu, na tym miejscu stanie ta chata. Na dalekiej północy blisko bieguna ludzie mieszkają w takich ze śniegu zbudowanych domkach.

— Domek ze śniegu! Ale jak to zrobić?

— Zrobimy kule śnieżne — objaśniała dalej drużynowa. — Dzisiaj odwilż i śnieg się lepi, więc będzie łatwo. Każda z nas utoczy kulę jak największą; jest was dwadzieścia pięć, z dwudziestu pięciu kul będzie już ściana. W ten sam sposób zrobimy następne. A teraz żywo, do pracy!

„Zuchom rozkazu nie trzeba powtarzać“, jak mówi prawo zuchowe, dziewczynki rozpierzchnęły się więc na wszystkie strony i każda starała się utoczyć ze śniegu jak największą kulę.

Zosia pobiegła pod krzak głogu, tam leży masa nieruszonego jeszcze śniegu. Wtem doszedł ją pisk ptaszków, cichy i jakby żalostny. spojrzała: oto kilka wróbelków tuli się do gałązek krzaka i daremnie wypatruje jakiej jagódki.

— Jakże one głodne! — pomyślała Zosia. — Trzeba im coś dać do jedzenia, mam przecież jeszcze trochę bułki ze śniadania w torbie.

Zawróciła natychmiast i pobiegła na miejsce zbiórki a w chwili potem wróciła z bułką w rękę i rozkruszyła ją całą dla ptaszków.

Jak się głodne wróbelki cieszyły, jak ćwierkały wesoło!

— No, ale teraz trzeba się zabrać do lepienia kuli. — Tymczasem Zosia z przerażeniem zobaczyła, że masy śniegu zostały już pozabierane

przez inne dziewczynki. Wszędzie dokoła śnieg został albo wydeptany albo zgarnięty. Co tu robić? Czyż ona jedna nie zbuduje domku? Pójdzie chyba do dhny Wandy uzalić się i poradzić się...

Tylko że na zbiórkach zawsze się mówi, że zuch powinien sam sobie umieć radzić...

— Już wiem, co zrobię! Tam dalej jest tyle jeszcze świeżego śniegu, wezmę sanki i na saneczkach przywiozę stamtąd śnieżną kulę.

Pobiegła pędem, wołając Stasię i Henię, które też nie zdołały na czas śniegu zgarnąć i rozglądały się dokoła niepewne, co robić.

We trzy pobiegły teraz żwawo, ciągnąc saneczki ze sobą. Po chwili naładowały na sanie wielkie, dobrze ubite kule i szybko ciągnęły je na miejsce zbiórki.

— Patrzenie, jakie to mądrale — powiedziała Władka z uznaniem. (Władka w słowach nie przebiera, ale zawsze potrafi uznać załugę drugich). — A ja się dziwiłam, po co te sanki tu, gdzie jest tak równo!

Tymczasem śnieżny domek rósł w oczach. Ma już ściany z wielkich kul ulepione, a szpary pozatykane śniegiem. Podłogę udeptano, zrobiono małe okienko i drzwi, a jako dach poukładano splecione gałązki wierzby, na wierzchu zaś przysypano je śniegiem. Prawdziwy śnieżny domek! Taki, w jakich mieszkają Eskimosi! Czy oni tam nie marzną ci ludzie dalekiej północy w śnieżnych domkach?

— Nie marzną, bo są ubrani w skóry zwierząt, a przy tym są przyzwyczajeni — objaśniła dhna Wanda. — Zresztą czy nie czujecie, że tu, w śnieżnej chacie o wiele jest cieplej, niż na dworze?

— O, to prawda! — zawołały dziewczęta.

— Ja się nawet bardzo dziwiłam, że ściany ze śniegu mogą tak dobrze chronić od zimna — dodała Władka.

— Otóż właśnie, śnieg świetnie broni od mrozu, — rzekła drużynowa — dzięki niemu ziarna zboża zasiane jesienią nie zmarzną w ziemi; zwierzęta północne wiedzą o tym doskonale i robią sobie zawsze nory w śniegu. Tak samo czynią psy tam mieszkające a także nasze niedźwiedzie w górach zawsze mają jamy przysypane śniegiem.

— Jak to zabawnie, że śnieg służy za mieszkanie! — zawołała Zosia. — Co to jednak za cudowna rzecz jest śnieg!

— Wszystko na dworze jest cudowne: i mróz i śnieg i wiatr — rzekła dhna Wanda. — Byle tylko w domu za piecem nie siedzieć. Zuchy o tym najlepiej wiedzą, prawda?

— O tak! — krzyknęły chórem wszystkie zuchy.

Z. WOŁOWSKA

SKĄD SIĘ WZIAŁ NASZ GLOBUS

Na pewno bawiliście się już nieraz w „Indianina”. Miła to zabawa. Łuk, strzały i piękny strój z kurzych piór i już Indianin gotowy. Aby jednak dobrze się bawić, to samo nie wystarczy, trzeba bowiem wiedzieć coś niecoś o obyczajach czerwonoskórych, o ich umiejętnościach i sposobie życia. Tylko tacy znawcy Indian potrafią się tak zachowywać, jak prawdziwi Indianie i ci na pewno umieją też pisać listy po indiańsku. A wy, czy potraficie?

To wcale nie trudne. Zwyczajnie, zamiast pisać słowa i litery, pisze się, a raczej rysuje się małe obrazki, jeden obok drugiego i za pomocą tych obrazków wyjaśnia się to, co się chce powiedzieć. Już nieraz widzieliście małe historyjki bez dopisków, składające się z samych tylko obrazków. Indianie zawsze tak pisują listy i zupełnie dobrze w ten sposób się porozumiewają. Często w listach należy objaśnić drogę, opisać, jak trzeba iść, aby się dostać do tego, kto napisał list. Indianie również i tych wyjaśnień udzielają rysunkami, po prostu rysują całą drogę, przy czym na odpowiednich miejscach zaznaczają, że tam znajduje się drzewo, tu znów strumyk, pagórek lub inny ważny szczegół.

Spróbujcie sami również narysować drogę waszą do szkoły lub do domu ciotki, stryjka albo waszego kuzyna, a przekonacie się, że jest to bardzo miłe zajęcie. Wasze rysunki nie będą celowały doskonałym wykonaniem i ujęciem, będą wam jednak już mogły służyć do wyjaśnienia tego, co zwiemy *mapą*.

Myszę, że każde z was widziało już rozmaite mapy i globusy. Jeśli sporządzicie rysunek jakiejś drogi tak, jak to powyżej wyjaśniłem, to właściwie już stworzyliście małą mapę waszego najbliższego otoczenia. Bardzo staranni i umiejętni rysownicy potrafią sporządzić mapę całego miasta, całej Polski, a nawet całej naszej ziemi. Na takiej mapie, wyobrażającej cały kraj, odszukać można poszczególne miejscowości, góry i rzeki, linie kolejowe i szosy. A jak będziecie starsi, nauczycie się nawet za pomocą mapy określać odległość dwóch miast.

Jest jednak z mapami pewna trudność. Wiecie już przecież, że nasza ziemia wcale nie jest płaska, taka płaska, jak na przykład mapa. Ziemia jest kulista, jest to wielka kula, która swoim przyciąganiem przytrzymuje nas na swej powierzchni. Dopóki na mapie rysujemy plan małego obszaru, to oczywiście możemy go przedstawić całkiem płasko. Gorzej się jednak sprawa przedstawia, gdy zamierzamy łądy i morza narysować na mapie w zmniejszeniu. Wtedy już niemożność uwzględnienia wypukłości kuli ziemskiej zmusza nas do pewnych niedokładności przy kreśleniu zarysów łądów i brzegów morskich. Nawet najlepsza

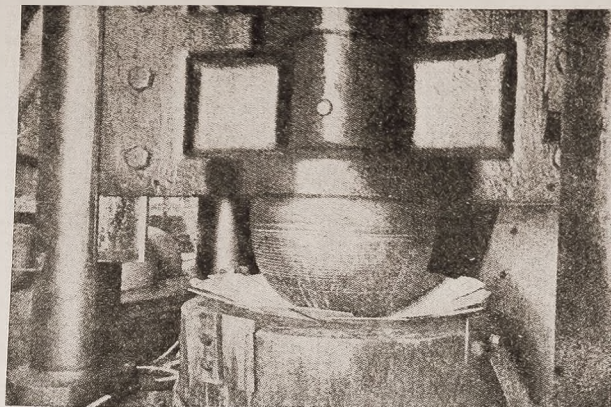
bawa,
y. Aby
n wie-
ściach
howy-
ty po

pisze
omocą
z wi-
tylko
w ten
rogę,
lianie
całą
jduje

ib do
e jest
ałym
yjas-

Jeśli
, to
nia.
ego
wy-
óry
się

za
ie-
y-
an
o.
za
d-
el
a



Tłok nadaje lekturze kształt kulisty

więc mapa, najsumienniejsz wykonana nie może być zupełnie wiernym obrazem rzeczywistości.

Jeśli więc chcemy dokładnie wiedzieć, jak ułożone są względem siebie wielkie obszary lądów, jaka jest najbliższa droga z Ameryki do Polski, z Australii do Afryki, gdy zamierzamy choćby za pomocą przesuwania palca podróżować po morzach i objeżdżać cały świat, to już zgodzić się musimy na to, że mapy nie będą nam mogły dawać dobrej odpowiedzi i wtedy już jedynym doradcą może być li tylko globus.

Zapewne ciekawi jesteście, od kiedy to ludzie sporządzają globusy i jak też powstaje taka piękna kula, całkiem podobna do ziemi z błękitnymi plamami mórz i żółto-zielonymi obszarami lądów.

Pierwszy globus stworzył w roku 1492 norymberczyk Martin Behaim. Globus ten mierzył w średnicy pół metra, pięknie był wykończony, a na jego wypukłej powierzchni oglądać można mnóstwo ciekawych obrazów. Namalowany na południe od Afryki wieloryb oznacza, że w tych właśnie okolicach morze obfituje w te olbrzymie ssaki wodne; herby poszczególnych państw wskazują obszary, znajdujące się pod ich panowaniem, rysunki okrętów pozwalają się domyślać, że tam właśnie prowadzą szlaki morskie do dalekich krain. Jedną jednak wadą grzeszył ten pierwszy globus: był wykonany wtedy, kiedy jeszcze cała ziemia nie była nam znana i dlatego nie odpowiadał rzeczywistości.



Wycinanie map

Ktoby się chciał kierować według wskazówek tego globusu, ten by nawet do Ameryki nie mógł pojechać, bo na nim w ogóle tego dużego kontynentu nie ma.

Wprawdzie i dziś jeszcze istnieją na ziemi okolice, do których stopa białego człowieka jeszcze nie dotarła, jednak znamy już dokładnie rozmieszczenie na kuli ziemskiej wszystkich lądów, nie ma mowy o tym, aby mogła istnieć jakaś większa wyspa, niezapisana na mapach poszczególnych okolic naszego globu. I dlatego oczywiście dzisiejsze globusy jak najdokładniej odzwierciedlają wygląd i kształt ziemi.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu tylko szkoły posiadały globusy, geograficzne te przyrządy były dość drogie i jedynie bardzo bogaci ludzie lub uczeni mieli u siebie takie piękne obrazy świata. Dziś już globusy fabrykuje się w wielkich ilościach według metod uproszczonych i dlatego cena jednego globusu jest obecnie tak niska, że właściwie każdy może sobie pozwolić na posiadanie własnej „ziemi“.

Na załączonych fotografiach widzicie, jak powstają globusy. Ten dziwny blok żelazny, widoczny na pierwszej fotografii jest częścią prasy, która prasuje tekturę i nadaje jej kształt półkuli. Te półkule tekturowe zostają następnie bardzo misternie złożone i zlepione oraz pięknie wypolerowane, tak jak to widać na fotografii. Kule już są gotowe, brak jednak na nich konturów lądów, wysp i oceanów.



Wycięte pasy map nakleja się na kule tekturowe

Na osobnych arkuszach wydrukowane są mapy świata. Te mapy mają jednak bardzo dziwaczne kontury, wyglądają jak podłużne, w obu kierunkach zwężające się pasy. Trzeba je wycinać, całkiem tak samo, jak wy wycinacie waszych papierowych żołnierzy, wasze krówki lub domki, jednak nieco staranniej, dokładnie wzdłuż brzegów. A potem niemniej starannie nakleja się te pasy na owych białych kulach tekturowych. Jest to praca zasadniczo nietrudna, jednak delikatna, bo trzeba bacznie na to zwracać uwagę, aby krawędzie wyciętych pasów dokładnie ze sobą się stykały, broń Boże, nie zachodziły jedna na drugą, albo nie pozostawiały wolnego, niezaklejonego miejsca.

Kiedy już wszystkie lądy i morza zostaną dobrze rozmieszczone na kulach ziemskich, globusy przechodzą przez lakiernię. Zwykły papier nielakierowany prędko się brudzi, a gdy się zeiera z niego kurz, cząsteczki pyłu jeszcze głębiej wnikają w włókna tektury. Lakier sprawia, że powierzchnia globusów jest lśniąca, gładka i kurzu nie przyjmuje.

Po wyglansowaniu globusy już są gotowe. Trzeba je tylko jeszcze umieścić na odpowiednich podstawach i dać im porządne stalowe osie, dookoła których mogą się kręcić, zupełnie tak samo, jak prawdziwa, wielka ziemia. Rozmiary globusów są różne. Istnieją takie, które mają w średnicy kilka metrów, a w ich wnętrzu znajduje się mechanizm

zegarowy, który sprawia, że kręcą się dookoła swej osi, wykonują jeden obrót w ciągu 24 godzin. Są również globusy, na których górę przedstawione są w formie wypukłej. Te są naturalnie drogie i dlatego nie dla każdego dostępne.

Takie są koleje losu globusów, zanim dostają się do sklepów księgarskich, a stąd do sal szkolnych lub do cichych pokojów miłośników wiedzy geograficznej.

Gdy spojrzycie na lśniącą powierzchnię globusowych mórz i lądów, zastanówcie się nad tym, ilu dzielnych uczonych wyprawić się musiał w głąb nieznanych krain, ilu nieznanych bohaterów postradało życie w tym celu, abyśmy dobrze poznali wszystkie zakątki kuli ziemskiej i mogli narysować każdy jej szczegół na pięknych globusach. I również o tym pamiętajcie, że sztuki stwarzania takich małych obrazów ziem nauczyli się ludzie w ciągu długich stuleci i że początki tej sztuki sięgają tych czasów, kiedy nasi praojcowie tak, jak owi Indianie, niezdarnie rysowali mapy na korze drzew lub skórze zwierzęcej.

Feliks BURDECKI

CO ZAWIERA WNETRZE ZIEMI?

Czytaliście na pewno już niejedną powieść słynnego pisarza francuskiego Juliusza Verne'a? Jak wam się zdaje, która z jego fantastycznych powieści jest najbardziej niewiarygodna? Która z jego przepowiedni nie tylko się nie ziściła, lecz i nigdy się nie stanie rzeczywistością? Bo przecież większość jego fantazji: o aeroplanie, o łódce podwodnej, o podróży dookoła świata w 80 dni, już dawno stały się rzeczywistością i dziś już nikogo nie dziwią.

Jest tylko jedna powieść Verne'a, która, moim zdaniem, na zawsze pozostanie fantazją. Mam na myśli „Podróż do środka ziemi”. Można sobie wyobrazić, iż przy odpowiednim rozwoju nauki i techniki będziemy mogli dolecieć do planet, lecz nie mamy żadnej nadziei, byśmy kiedykolwiek mogli przeniknąć do środka ziemi.

Niedawno dzienniki podały, iż w Kalifornii, po półtorarocznej pracy, udało się dotrzeć na 3.000 metrów w głąb ziemi. Oczywiście, iż mowa tu tylko o wąskim leju, przez który wytryska nafta. Najgłębsze szachty nie sięgają większej głębi, jak ponad $1\frac{1}{2}$ kilometra.

$1\frac{1}{2}$ kilometra w porównaniu z promieniem ziemi, liczącym 6.000 kilometrów — to prawie nic. Maszyna, któraby pracowała nad utworzeniem tak głębokiego leja, musiałaby pracować nieustannie w ciągu dwóch i pół tysiąca lat, ażeby

dostać się do środka ziemi. Ów lej trzykilometrowy jest także nieznaczny nawet w stosunku do pokrywy ziemskiej, której grubość wynosi „wszystkiego“ 100 kilometrów. By ją przebić, musielibyśmy pracować przez 45 lat. Oczywiście, iż mowa tu o pracy tylko na niby, gdyż nie rozporządzamy takimi maszynami i aparatami, które mogłyby wgryźć się w korę ziemską na dziesiątki kilometrów. Inżynierowie, którzyby chcieli przeprowadzić ten plan, musieliby przewyciężyć nie tylko olbrzymie ciśnienie, lecz i wielką temperaturę. Drogą doświadczeń stwierdzono, iż w miarę przenikania do wnętrza skorupy ziemskiej, temperatura wzrasta o jeden stopień co 30 metrów. Jeżeli nawet przyjąć, iż przyrost nie jest naprawdę tak wielki, to przecież w głębokości dziesiątków kilometrów spotkamy się z ogromną temperaturą. Będzie ona tak wielka, iż uniemożliwi pracę wszystkim maszynom — że nie wspominamy już o ludziach!

Co się znajduje głębiej, jakie jest wnętrze ziemi, z czego się składa jądro ziemi — na wszystkie te pytania możemy odpowiedzieć tylko przypuszczeniami.

Tak więc jedni mówią, iż wnętrze ziemi składa się z metalów, przeważnie z żelaza i niklu z dużą domieszką platyny i złota. Inni znów twierdzą, iż we wnętrzu ziemi znajdują się nie metale, lecz gazy. Niedawno jeden z profesorów amerykańskich, dr Daile wydrukował na ten temat swoją pracę. Otóż dr Daile doszedł do wniosku, iż wnętrze ziemi wypełnia płynna masa szklana. Jak wykazał rozbiór czyli analiza, skład chemiczny szkła jest zupełnie podobny do składu chemicznego tej lawy, którą wyrzucają wulkany podczas wybuchów. Ta właśnie lawa wypełnia podobno wnętrze naszej ziemi, a ją otacza masa szklana, która przechodzi stopniowo, im bliżej do powierzchni ziemi, w twarde warstwy. Jest rzeczą ciekawą, iż na podstawie swoich badań, dr Dail doszedł do wniosku, że jądro ziemi posiada temperaturę, dochodzącą do 50.000 stopni.

Łatwiej wyobrazimy sobie wysokość tej temperatury, gdy porównamy ją z temperaturą zewnętrznego powłoki słońca; otóż temperatura ta dochodzi zaledwie do 5.000 stopni, to znaczy, iż jest dziesięciokrotnie niższa!

Tak więc, nie metal i nie gaz, lecz lawa i płynne szkło mają wypełniać podobno wnętrze naszej planety. Jest rzeczą oczywistą, iż musimy na zawsze zrezygnować z zamiaru przedarcia się do gorącego środka ziemi i przekonania się o tym, czy profesor amerykański ma rację. Może jednak kiedyś zostanie zbudowany taki aparat, który pozwoli nam ujrzeć, co się dzieje we wnętrzu naszej ziemi, jak promienie Roentgena pozwalają nam wglądać w głębi człowieka?

Ludwik RON

S T A C H

HARCERZ JEST KARNY I POSŁUSZNY RODZICOM I PRZEŁOŻONYM

Od chwili aresztowania Czarnego minęło zaledwie parę godzin, a wydawało się, że to jakiś długi i zupełny nowy okres. Stach pracował te parę godzin, jak sprawną maszyną. Krótkie, urywane zdania, decyzji, szybkie zdecydowane ruchy, a w głowie jasne, precyzyjne myśli. Dokonano już dziesiątek zwykłych czynności, naprawiających nadszarpniętą koronkę podziemnej roboty. Stach, będąc zwierzętnikiem Czarnego, był osrodkiem i mózgiem tej roboty. Aktywność jego była tak wielka, że podwładnym zdawało się dwoić, troić, być obecnym jednocześnie w kilku miejscach. Spokój, nieledwie chłód myśli, i ta niezwykła aktywność kryły jednak pod zewnętrzzną maską wewnętrzną burzę.

Tę burzę wyczułem, gdy go zobaczyłem o ósmej rano tego dnia: czekał na mnie, by wymusić z siebie dwa wyrazy: „wzięli Czarnego”. Tę burzę wyczułem widząc, jak w drodze między dwoma punktami swej pracy wyjął z kieszeni dużą fotografię przyjaciela i z czułym uśmiechem się jej przyglądał. Wtedy rodziła się w Stachu myśl, powstawał plan, jak owa burza namiętny i szalony, jak ów chłód i aktywność zimny i realny: odbić Czarnego! Wówczas, gdy naklejona na murze nalepka lub napisany kredą znak należały do najmocniejszych argumentów naszej walki — odbić! Pierwszy raz od trzech i pół lat przeciwstawił się ponuremu biegowi rzeczy między całą na Pawia-ku i pokojem referenta-bestii w Alei Szucha. Całej potędze zbrodni rzucił głosom stenów i coltów namiętnie żądanie „Oddajcie”!

Plan rósł z godziny na godzinę. Ogrom własnej woli tchnął Stach w swe otoczenie. W parę godzin później wszystko zaczęło przybierać realne kształty: rozpoznanie szło swoim trybem, w magazynach przygotowano broń i amunicję, na odprawach instruowano wykonawców. Gdy zbliżała się godzina akcji, wszystko było na ukończeniu. Brak tylko jednego jedyne go elementu: decyzji władz wojskowych. Stach wie, że tu nie chodzi o drobną akcję, wie, że akcja ta odbije się gromkim i szerokim echem po stolicy i dlatego coraz częściej patrzy na zegarek, coraz częściej pyta, czy spotkanie z władzami jeszcze nie doszło do skutku. A jednocześnie, patrząc w krótkich przerwach na fotografię Czarnego, mówi mu z uśmiechem „pocekaaj jeszcze trochę, wytrzymaj”...

Myśli o tym, co Czarny w tej chwili musi wytrzymać, przyspiesza tylko tempo pracy. Wreszcie wszystko gotowe. Oddział rozstawiony

wzdłuż ulicy czeka sygnału. Auto za chwilę nadejdzie. Wiozą nim Czarnego.

Ostatnie minuty. I ostatnia nadzieja skomunikowania się na czas z władzami wojskowymi — rozwiewa się. Podchodzę do Stacha. Stoi wpatrzony w ulicę, skąd ma nadjechać auto; ręka w kieszeni na pistolecie, brwi zmarszczone.

„Stach! Pozwolenie dowództwa nie nadeszło, decyduję odwołanie akcji“.

Jestem przygotowany na protest, na wybuch argumentów. Mija chwila milczenia — auto za parę minut nadejdzie.

„Trzeba powiedzieć chłopcom, że Czarnego tym razem nie wiozą, inaczej odwołanie akcji wywoła wielkie załamanie“ — Stach mówi to spokojnym, dziwnie spokojnym głosem. Patrzą mu w oczy, ściskam mu dłoń, nie odpowiadam ani słowa.

Zarządzamy odwołanie akcji z motywowaniem, obmyślonym przedtem przez Stacha. Po trzech dniach, po powtórnie zmontowanej i doprowadzonej do zwycięskiego końca walce dowiedzą się dopiero całej prawdy. Tymczasem ostatni z nich znikają za rogiem ulicy. Pozostajemy we dwóch na skrzyżowaniu Bielańskiej i Długiej.

Od strony Placu Teatralnego jedzie auto więzienne. Wiemy, że jedzie w nim Czarny, dzieli go od nas zaledwie parę metrów. Czuję, jak Stach zaciska dłoń na pistolecie, a mnie w mózgu układa się tylko jeden wyraz: karność, karność, karność. Auto znika w ulicy. Bez słowa zawracamy ku śródmieściu, a gdy potem milcząco wchodzimy do małego kościółka przy ulicy Moniuszki, mam pełne przeświadczenie, że byłem świadkiem najwyższego misterium pojęcia karności.

(Pismo Młodych „BRZASK“, wychodzące w Kraju, Nr 1 z dnia 15. 11. 1944 r.)



ŚLUŻBA HARCERZY W PŁONĄCEJ WARSZAWIE

Przybyła przed kilku miesiącami z Warszawy obywatelka szwajcarska ze zgrozą opowiada o życiu walczącej Warszawy. Wyjątki z tego opowiadania podajemy za Gazetą Polską z dnia 9 stycznia 1945 roku.

„Na fotelu siedzi prawie bezwładna kobieta, na której twarzy zupełne wyczerpanie i ponure przeżycia wyryły swe głębokie ślady. Kobieta jest jeszcze młoda, wygląda jednak na dwa razy starszą, a kiedy spoglądamy w jej oczy, zdaje się nam, że przed nami siedzi staruszka.

— A więc Pani przyjechała z Warszawy, czy Pani jest Polką?

— Nie. Według paszportu jestem Szwajcarką — odpowiedziała kobieta bezdzwięcznym głosem. — Ale tragedia Polski i jej stolicy jest również tragedią mojego życia.

Polska bowiem stała się moją ojczyzną. Rodzice moi osiedlili się w Polsce, kiedy miałam trzy lata. Bawiłam się z dziećmi polskimi, chodziłam do polskich szkół, odbyłam tam wyższe studia, byłam z Polakiem zaręczona... Nie, nie jestem Polką, ale żyłam życiem polskim...

Młoda kobieta przeciąga ręką po czole, jakby chciała odegnać od siebie jakąś zmołę... Wreszcie zaczyna opowiadanie ciężko, zacinając się, często przymyka powieki, tylko drganie jej twarzy zdradza, że mówiąc przeżywa po raz wtóry potworną grozę wypadków, które przez kilka tygodni postarzały ją o kilkadziesiąt lat.

... Po dwóch tygodniach wyczerpaliliśmy całkowicie cały nasz zapas żywności pomimo, że bardzo zmniejszyliśmy nasze codzienne porcje. Już w pierwszym dniu powstania, dn. 1 sierpnia, wszyscy mieszkańcy kamienicy zgromadzili się w piwnicach i od tego czasu wszyscy prowadziliśmy jedno wspólne gospodarstwo. Dzieliśmy sobie bratersku wszystko między siebie. Tak samo było zresztą we wszystkich innych piwnicach warszawskich. Już jednak od pierwszych dni odczuwaliśmy brak wody. Po czternastu dniach nie mamy nic do jedzenia.

Wodę dostawaliśmy w nocy. Kilku odważniejszych mężczyzn — byli to starcy — ponieważ każdy, kto był zdolny do noszenia broni, ten walczył — i kilka krzepkich młodych dziewcząt przynosiło wodę w kubkach. Przez wyrwy w murach przechodzili oni z jednej piwnicy do drugiej, aż wreszcie dostawali się na podwórze jakiegoś zniszczonego domu. Tam w zagłębieniu ścieku było trochę wody. Nie dużo. Każdy dostawał około litra na dzień. Ale nie więcej. Obawialiśmy się, aby tego zbiornika zbyt szybko nie wyczerpać. Poza tym zaś liczba mieszkańców naszej piwnicy szybko rosła, ponieważ przybywali do nas ludzie z sąsiednich domów, które zniszczył pożar lub bombardo-

wanie. Skrupulatne wydzielanie wody było więc nagłą koniecznością.

Wkrótce powstały jakby dwie Warszawy: jedna — to ta piękna i odważna Warszawa, ta, która walczyła i umierała — i ta druga dosłownie podziemna Warszawa, która usiłowała przetrwać w tym strasliwym zniszczeniu. Na ulicach srożyły się pożary tak, że nie można było chodzić, a w dzień i noc ciągle bezładnie padały granaty i bomby.

Piwnice wszystkich domów zostały połączone wyłomami w murach lub podziemnymi przejściami tak, że wkrótce powstała druga sieć ulic podziemnych pod ulicami na ziemi, które się paliły nad naszymi głowami.

Ludzie, którzy nieustannie przybywali do naszej piwnicy, byli w opłakanym stanie, w na pół spalonych łachmanach, brudni, często ranni i strasznie zawszeni.

Była jedna cudowna rzecz w tej podziemnej Warszawie: działała poczta.

Cóż miałam za radość, gdy harcerz, chłopiec może 14-letni, przybył do piwnicy z torbą listonosza i doręczył mi list od mej rodziny, która tak samo, jak ja, mieszkała w drugim końcu miasta, w piwnicy na Mokotowie. Harcerz ten i jego rówieśnicy, którzy byli jeszcze za młodzi, aby brać udział w walkach, wędrowali, aby się do nas dostać labiryntem licznych obejść i przejść podziemnych.

Zgłosili się oni do tej służby ochotniczo i często ich kurs wynosił 40 km dziennie. Przynosili nam nie tylko pocztę ale również, i to było drugim cudem podziemnej Warszawy — gazety. W tym czasie, kiedy toczyły się krwawe i bezlitosne walki, wychodziło tygodniami bez przerwy przeszło trzydzieści rozmaitych gazet — pism podziemnych patriotów polskich, które teraz kolportowano dosłownie pod ziemią.

Mieliśmy jedno wielkie pragnienie: wiedzieć, co się dzieje na świecie, i że na frontach sytuacja rozwija się dobrze ogólnie, a więc także dobrze i dla Polski. Jakże jednak trudno było czytać te gazety. Przez cały dzień żyliśmy w ciemnym półmroku, a w nocy panowały nieprzeniknione ciemności. Nie było już światła elektrycznego, ponieważ na samym początku powstania elektrownia stała się terenem walki, a Niemcy przez gwałtowne bombardowanie rozbili ją doszczętnie. Nie było również gazu, a na luksus posiadania latarki elektrycznej lub świecy nie mógł sobie nikt w Warszawie od wielu lat pozwolić. Tak, od dawien dawna przywykliśmy do tego, aby żyć w nędznych warunkach, bez dobrodziejstw tych wszystkich codziennych wygod, które wydawały się nam w r. 1939 samo przez się zrozumiałe tak, że nie zwracaliśmy na nie najmniejszej uwagi.

W czasie dnia płacz małych dzieci, które głodowały, stawał się nie do zniesienia. Dzieci nieustannie dopominały się o jedzenie coraz słabszymi głosikami.

Matki i inne osoby dorosłe ograniczały się w jedzeniu do minimum, byleby tylko dać dzieciom pożywienie, ale naprawdę mieliśmy mało, badzo mało żywności. A przecież trzeba być przezornym, dzielić się z innymi, nie zjeść wszystkiego naraz, nie wiadomo bowiem, ile dni lub tygodni trzeba będzie jeszcze przetrzymać. Racje żywnościowe starczyły na to, aby zapewnić na krótki czas pustkę w żołądku ale nie na to, aby głód naprawdę zaspokoić.

A potem ranni! Brakło lekarstw, lekarzy, a nade wszystko narzędzi chirurgicznych. Ciężko ranni umierali prawie bez wyjątku. Starcy i dzieci ginęli z wyczerpania. Zwłoki leżały często przez cały dzień wśród nas w pobliżu i rozkładały się szybko w gorącu sierpniowego dnia. Parę razy udawało się nam, gdy walki trochę przycichły, pochować zwłoki z konieczności na podwórzu. Inni pogrzebani zostali w ruinach zburzonych domów.

Ci zaś, których śmierć zaskoczyła tam, na górze, w mieszkaniach leżą w ruinach i nie zostali pochowani. Wszędzie dokoła rozkładają się te niepochowane zwłoki. Jakież to niebezpieczeństwo epidemii!

O praniu nie było mowy. Przez cały miesiąc i dłużej nie zmienialiśmy bielizny i ubrania. Brak wody unieruchomił wszystkie urządzenia sanitarne. Tak więc żyliśmy pod względem higienicznym w gorszych warunkach niż ludzie jaskiniowi.

ORLETA WARSZAWY

*Kiedy z wolnej Ojczyzny spadnie kir żatoby,
Gdy myśl nasza ku przeszłym, krwawym dniom uleci.
Gdy w ołtarze zmienimy męczenników groby,
Nie zapomnimy o Was, bohaterskie dzieci!
Będziemy pamiętali bezprzykładne męstwo,
Nie zaginie w pamięci krwi waszej ofiara
I dumne ślubowanie: „Śmierć albo zwycięstwo”!
I ta ręka żołnierska, bezimienna, szara...
Będziemy pamiętali te drobne rączyny,
Dźwigające karabin... zaciekle... uparte...
Wasze męstwo dojrzałe i wspaniałe czyny
Będą w dziejach narodu pisać swoją kartę,
Ginęliście na szanicach, mali bohaterowie,
Śmierć was w zyciu zaraniu pokotem kosiła,
Ciału wasze walczyły się w kurzu słońca,
Lecz wyście trwali, poki Ojczyzna walczyła.
A gdy będziecie, dzieci, u wrót Boskich stały,
Gdy będziecie przed Sędzią, który czyni miarę —
Dobry Boże! Przyjmij je do Twojej chwały,
Bo te dusze należą do prawych żołnierzy.*

Wierny z Kujaw



*Jedzie pejmość Zima
gniewnie się nadyma:
gruba, mocna, zadzierzasta,
ma sukienek chyba trzysta,
hej, kto jej dotrzyma?*

*Patrz się ludziska,
strach im serce sciska.
Będziem modlić się do Boga,
może minie zima sroga,
może wiosna bliska! —*

Na tle czystych lazurów zarysowują się wyraźnie ciemne, smukłe i dumnie strzelające ku niebu wieżyczki kościoła. Złote słońce oświetla srebrny, blaszany dach, od którego bije blask tak wielki, jak gdyby chciał przyciągnąć do siebie ludzi. I rzeczywiście, biedny jest kościółek, bo stoi sam, smutnie patrząc na świat oczyma kolorowych witraży...

Zachrzęściły suche, leżące na ziemi listki i gałązki. Najpierw wychyliły się z za drzew dwie rączki, później główka, aż wreszcie cała postać niedużego dziewczęcia.

— Cóż ona tu robi? — szeptały drzewa, ptaki i całe otoczenie...

Lecz nie musiały długo czekać, bo wkrótce ruchy dziewczynki odpowiedziały na to pytanie. Mała harcerka postąpiła jeszcze parę kroków, aż znikła za drzwiami kościołka. Harcerka wiedziała bowiem dobrze, jak cierpi Ojczyzna, dlatego też przyszła prosić Boga, aby raczył zdjąć kajdany z jej rąk. Błagała też Stwórcę o to, aby pozwolił jej służyć Polsce, która jest matką nas wszystkich.

Po skończonej modlitwie mała harcerka wyszła z kościoła. Idzie posuwa się a las ucieka, ukazują się już domki miasta.

Wtem na drodze, po której szła dziewczynka, wyrosła jakaś postać z rozwianym włosom. Biegając i machając nerwowo rękoma, postać ta krzychała głośno i rozpaczliwie:

„Kto kocha Polskę, niech idzie na rynek do miasta, bo tam dzieć polskie wsadzają do aut, chcą wywieźć do Niemiec. Ratujcie więc niebożęta, rodacy — przecież to przyszłość narodu!“

W ludziach budziła się chęć zemsty. Więc też, kto mógł, biegł na rynek, aby coś poradzić. Wraz z innymi biegła i owa dziewczynka.

Na rynku działo się coś, co żadnymi słowami nie da się wypowiedzieć. Dzieci w wieku mniej więcej od 10 do 15 lat wciągano przymusem za ręce do wozów ciężarowych. Jedno z nich z wielkimi kroplami potu na czole, z ustami wykrzywionymi z bólu, upadło jak nieżywe na ziemię. Wówczas znalazł się ktoś, kto ulżył, kto wspomógł.

Była to właśnie owa mała harcerka. Skoczyła natychmiast do pobliskiej chaty i wyszła z niej wkrótce, niosąc kubek napoju. Zbliżywszy się do leżącego dziecka, podała mu wodę.

Zemdłona dziewczynka otworzyła po chwili zapłakane oczka i rzekła:

— Dziękuję Ci.

Tymczasem żoldacy niemieccy, którzy zajęci byli wypychaniem polskich dzieci do wozów, zobaczyli co zaszło, i wkrótce harcerka była już w gronie tych nieszczęśliwych.

Znalazłszy się tam powzięła w duszy mocne postanowienie:

“Polsko, na razie muszę Cię polegnąć, ale obiecuję Ci, że wkrótce i dołożę cegiełkę do Twojej odbudowy“.

Wiesława URZĘDOWSKA, pion.



N A G R O M N I C Z N A

*Mróz w cichą lutową nocę
o długiej zimie baśń prawi
i bezlitosnym uściskiem
skostniałe olszyny dławi.*

*Polesia białe równiny
spią snem zimowym ujęte,
do wierzb, staruszek garbatych,
tulą się wrony zmarznięte.*

*Księżyc zapala iskierki
w przedziwnej śniegów pościeli,
bielszej na pewno od puchów
cudownych skrzydeł anielich.*

*Wtedy przez pola i lasy
i przez równiny te puste*

*idzie Najświętsza, spowita
w krakowską, welnianą chustę.
W przezroczych, litosnych dloniach
trzymą gromnicę woskową,*

*światłość się jasna rozsnuwa
nad cichą, świętą Jej głową...
A Ona idzie przez sennie
i osnieżone Polesie,*

*zapowiedź rychłej już wiosny
ludziom, ptakom, lasom niesie.
I śnią o słonku równiny
poleskie — białe i puste,
gdy ujrzą krasną, krakowską
Maryi Gromnicznej chustę.*

M. A. KASPRZYCKA

NA UROCZYSTOŚĆ MATKI BOSKIEJ GROMNICZNY

Kto nie zna pięknego obrazu naszego znakomitego artysty — Piotra Stachewicza, przedstawiającego Matkę Najświętszą w szacie mgły śnieżnej, z gromnicą płonąącą w ręku? Za Nią cicha polska wiosna, puchem śnieżnym okryta, pod ciemnym niebem, z którego głębi słabo świecą gwiazdy.

Matka Boża stoi na śnieżnym polu przed opłotkami i nachylonym światłem gromnicy odpędza od uspionych zagród wieśniaczych dniących-wilków. Otaczają one kołem Najświętszą Pannę, wyją i ujadają, żaden zbliżyć się nie śmie, odpędzany światłem gromnicy.

Piękna legenda — wyraz głębokiej wiary ludu w opiekę Najświętszej Panny i moc Jej gromnicy w chwilach śmiertelnej trwogi.

W uroczystość Oczyszczenia Najświętszej Maryi Panny Kościół przed Mszą św. gromnice. Nazwa tych świec pochodzi od gromu. Lud polski w wielu okolicach Polski zapala je w czasie grożącej burzy z wiarą modlitwą, aby Bóg raczył odwrócić nieszczęście gromu od domostw. Zwraca się też tę gromnicę i wkłada w rękę konającemu, aby światło tej świecy oświecało mu, jakby światłem wiary, rozświecającą drogę w światłość wiekuistą. Związanie święcenia gromnic z świętem Oczyszczenia złączyło z Matką Bożą gromniczną.

Na wielu obrazach, wyobrażających Oczyszczenie Najświętszej Maryi Panny a zarazem ofiarowanie Syna Bożego w Świątyni Jerozolimskiej po 40 dniach narodzenia, zgodnie z przepisami prawa Starego Testamentu, malarze przedstawiają Matkę Bożą z świecą w ręku.

Światło w ręku Matki Bożej na odwrócenie gromu i na odpędzenie zła, czyhającego w chwili śmierci człowieka, stało się zapewne podłożem legendy o Matce Boskiej, odpędzającej wilki, czatujące na ludzi, zbłąkali w śnieżnych zadymkach.

Wielki król Aleksander na dworze swoim ustawił razu pewnego płonącego świecę, a na krańce państwa swego wysłał swych urzędników. Urzędnicy mieli każdemu ogłosić, że kto zawinił przeciwko królowi a zgłosi się i przyniesie do winy w ciągu tego czasu, kiedy świeca się jeszcze pali, temu król daruje wszelką winę. Kto zaś do wygaśnięcia świecy nie przybędzie, ulegnie wyrokowi naniu kary śmierci.

Kiedy poddani o takim edykcje się dowiedzieli, pośpieszyli do króla z prośbą o przebaczenie. Król przyjął ich litosiwie, okazując wyrozumienie i miłosierdzie.

Znalazło się jednak wielu, którzy przyjść nie chcieli i zlekceważyli soba edykt królewski. Kiedy więc płomień świecy zgasł, król kazał tych, co nie przyszli, przyprowadzić siłą i ukarać śmiercią.

Miłosiernym królem wobec nas wszystkich jest Pan Bóg. Jak długo pali się świeca naszego żywota, mamy możność korzystania z Miłosierdzia Bożego. Lecz gdy płomień życia naszego zgaśnie, wówczas będzie za późno, miłosierdzie zastąpi sprawiedliwy sąd. Życie nasze jest krótkie, dajś jeszcze płonie. A jutro czy płonąć będzie? Bóg jeden wie!

Ks. Piotr PIETRUSZAK

Kochani Druhowie! Że sprawa polska może być przedmiotem sporu, przekonałem się o tym osobiście w chwili, gdy Wasz Redaktor zaczął namawiać mnie usilnie do napisania tego artykułu. Jestem z natury najczystszy typem „szczura lądowego“. Urodziłem się w okolicach, gdzie nie tylko do morza, ale i do pospolitej rzeki nie było wcale blisko, i ten szczegół ciąży na mnie „przekleństwem dziedziczności“. Morze widziałem parokrotnie w Gdyni, a przepływałem dotąd raz jeden jedyny i to nie prawdziwe morze, ale raczej ogromne jezioro (Kaspijskie). Gdzież tu więc przy tym aż nadto luźnym kontakcie moim z morzem zabierać się do artykułu o Polsce i morzu?...

Kiedym się więc od tego tematu wykręcał, prawo było całkowicie za mną. Silniejszym się okazał Wasz Redaktor. Rezultat: macie artykuł pisany już nie tylko przez niefachowca, ale wręcz przez laika. Nie szukajcie więc w nim statystyki, wykresów, cyfr, ani innych subtelných dociekań. Niech Wam wystarczy to, co pospolicie zwie się prostym, chłopskim rozumem. Na nim tylko próbuję oprzeć swe wywody.

Był kraj ubogi, o klimacie dżdżystym, o glebie nie specjalnie urodzajnej. Ludność jego zajmowała się uprawą roli, lecz wykonywała ten obowiązek bez zamiłowania, po prostu z konieczności, bo innych źródeł dochodu nie było. Nędza w kraju wciąż rosła, a w ślad za nędzą, jak to często bywa, wzrastały w liczbę przestępstwa. Kradzieże w pewnym czasie tak się rozpowszechniły, że, by je zahamować, chwycono się iście drakońskich środków. Na stryczek skazywano każdego złodzieja, który ukradł na sumę wystarczającą na to, by kupić sznurek konopny. Lecz nic nie pomagało. Podczas egzekucji ginął na stryczku jeden, a nowych kilkunastu ogałacało sprytnie kieszenie gapiów.

Był inny kraj, choć często przez wojny nawiedzany, przecie mający i skarb zaopatrzony i mieszkańców żyjących w dostatku. Dużo dochodów dawała bujna gleba, lecz więcej jeszcze dwa szlaki handlowe, wiodące jeden od morza na południe, drugi z zachodu na wschód. Szlakami tymi ciągnęli kupcy z towarami, płacili cło i chętnie sprzedawali towary. Miasto, gdzie oba szlaki krzyżowały się, do takiej zażyłości doszło, iż mieszczanin tamtejszy potrafił obcym królom, przybyłym tu na zjazd monarszy, wystawne urządzać przyjęcie.

Ten pierwszy kraj — to Anglia z czasów przedelżbietańskich, drugi — to Polska z późnej epoki Piastów, z doby Kazimierza Wielkiego, fetującego głowy koronowane w domu mieszczanina krakowskiego Wierzyńka.



Z A Ś L U B I N Y P O L S K I Z M O R Z E M

Cóż to się stało, że dziś właśnie Anglia przoduje Europie zamożnością, my zaś uchodzimy prawie za nędzarzy?..

Elżbieta otworzyła swojemu krajowi drogę na morze, a przez nie w świat szeroki, nieskrępowany granicami. Stworzyła handel, wraz z rozwojem którego wzmógł się przemysł; podniosła tą drogą dobrobyt społeczeństwa, a przez to dopomogła również do podniesienia poziomu moralności, gdyż przestępstwa, popełniane z nędzy, siłą rzeczy przestały się zdarzać.

Przeciwnie, Polska, posiadłszy bogate w żyzną glebę ziemie wschodnie, utraciła poczucie, poprzednio posiadane, wartości morza oraz dróg handlowych. Zaniedbała więc rozwój własnego przemysłu, nie zatroszczyła się o rozwój rodzimego handlu, obce towary kupując za zboże. Rósł w bogactwo poszczególny obywatel kraju, lecz skarb pustoszał, upadały miasta, malała siła zbrojna, na której utrzymanie niezbędne są poważne zasoby państwowe... O rezultatach mówić nam nie trzeba!...

Polska, szerokim skrzydłem o morze oparta, ma więcej danych na przyszły swój rozwój, niż rozrośnięta nawet w swych granicach, ale dostępu do morza nie mająca, lub też mająca dostęp zbyt mały na swoje potrzeby. Miniony nasz okres potęgi — to epoka, gdyśmy od Gdańska przez Koszyce łączyli Bałtyk z morzem Adriatyckim, a przez skrzyżowanie w Krakowie tej drogi z drogą, wiodącą z Wrocławia na Lwów i na Kijów — Bałtyk z morzem Czarnym.

.

Znajdujemy się dziś w bardzo skomplikowanej lecz i ciekawej na przyszłość sytuacji. Część nas cierpi i trwa w Kraju, część przemocą wciągnęła w siebie niemiecka machina wojenna, część przymusowo zwiedza rozległe tereny Rosji. Niemała garstka znalazła się takich, których właśnie jak nas rozsiał los po rozmaitych krajach. Ta okoliczność może poważnie oddziaływać na dalszy rozwój losów naszego państwa.

Gdy pierwsi emigranci wyruszyli ongiś z Anglii do Ameryki, nie byli to ludzie całkowicie świadomi, czym się w przyszłości staną. Wielu z nich — byli to emigranci z musu, tacy, na których ciążyły przestępstwa i których gnała w świat chęć uniknięcia kary, lub tacy, którzy z kraju uchodzić musieli ze względu na swe przekonania.

Ich przymusowy „exodus“ z ojczystej ziemi był klęską dla nich osobicie, okazał się zaś zbawieniem dla obu ich Ojczyzn: i starej, którą opuścili, i nowej, w której znaleźli schronienie. Czyśmy obecnie tego przykładu dziejowego nie powinni mieć żywo w pamięci?..

Rozlecieliśmy się po świecie „jako piasek nadmorski, ruszony podmuchem“, mówiąc słowami Jana Pawła Woronicza. Dla nas to jest bezwzględnie przykre, lecz dla dobra Polski może się to okazać wcale

nie najgorszym. Z Bałtyku — droga na Atlantyk, a z Atlantyku wszędzie tam, gdzie dziś ziemię depta polska stopa.

Przed wojną w życiu międzynarodowym cierpieliśmy na jedną wielką słabość: nikt nas nie znał należycie i myśmy innych jak trzeba nie znali. Niewola wychowała nas w walce o swoje. Nie mogła nas nauczyć rozmachu życiowego. Dziś się stykamy z tymi, o których wówczas ledwośmy słyszeli, i poznajemy ich. Oni zaś nas nawzajem. Z wzajemnego poznania mogą wyrosnąć kontakty, wymiana dóbr, współpraca, współdziałanie.

Wielkie wojny mają to do siebie, że niosą w znacznej mierze zagładę ludzkości, ale też otwierają nowe drogi dla jej dalszego rozwoju. Epopeja napoleońska dała w swym głębszym wyniku umiędzynarodowienie handlu i otwarcie oczu Europie na inne części świata i ich rolę. Wojna obecna — zdaje się — do małych nie należy. Nie może więc też mieć małych wyników. Polska nieuszczerplona, naprawdę wolna i niezależna, byle pani swych planów, zamierzeń i dążeń, przyszłość przed sobą znajdzie w kontakcie ze światem szerokim, dziś przez siebie poznanym i z sobą bardziej zżytym. A do kontaktu tego potrzebne jest morze.

Nie chodzi przy tym tylko o kontakt handlowy, o możliwości korzystnego spieniężenia naszych bogactw i korzystnego nabycia dóbr. Chodzi również o zyski natury moralnej.

Zdobycie przez nas szerokiego dostępu do morza — to rozpoczęcie od nowa życia politycznego, ale już z możliwością uniknięcia poprzednio popełnianych błędów, to istotne nabranie szerszego oddechu i zerwanie z tą dziwną zaściankowością życia, przy której się wydaje, jak Aldonie z „Konrada Wallenroda“, że własny kraj jest tak olbrzymi i rozległy, iż sam sobie we wszystkich okolicznościach wystarczy.

O tym warto pomyśleć w dwudziestą piątą rocznicę zaślubin Polski z morzem.

Dr Walerian KWIATKOWSKI

... W mroźny, letowy poranek się to zaczęło. W tę chwilę tamą niezapomnianą, gdy śliczny General Józef Haller wjechał konno w morze i rzucił w falę morskie powiewał słowy na temat że oto w imieniu Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego obejmuję z powołaniem obowiązki stał nadobrze przestworzem. To działo się w Pucku. Tam też stanął słup kamienisty, wbity na wieżystą pomostu tej chwili. Na słupie wyryto napis:

ROKU PAŃSKIEGO 1920, DNIA 10 LUTEGO WOJSKO POLSKIE Z GENERAŁEM HALLEREM NA CZELE OBJĘŁO W WIECZYSTE POSIADANIE POLSKIE MORZE.

P R Z A D K I

Do bardzo starych zwyczajów polskich zaliczyć można tak zwane „prządki“, czyli „wieczory prządkowe“, które odbywały się w chatach i we dworach.

Po przeprowadzonej starannie w miesiącach wiosennych i letnich uprawie lnu i konopi, po zebraniu obu tych roślin i przygotowaniu ich do przędzenia przez miesiące jesienne, przędzono je w długie wieczory zimowe.

We dworze, w izbie czeladnej, pani, len pomiędzy dziewczęta i niewiasty służebne rozdzieliwszy, nieraz sama wśród nich z robotą zasiadała.

Ogień płonął wesoło na kominie, kręciły się wrzeciona, furkotały kołowrotki, czasem popłynęła piosenka, czasem najwymowniejsza z prządek opowiedziała bajkę, pełną cudów lub tajemniczej grozy. I tak schodził wieczór za wieczorem. Rosły motki szarego przędzy, które z kolei zabierali tkacze wioskowi, by je przerobić na płótno.

Haur, pisarz XVII wieku, który w swej *Oekonomice ziemiańskiej* wiele rad i praktycznych, ze sprawami gospodarczymi związanych, przepisów pozostawił, poucza, iż tkaczy tych „dobierać było trzeba, aby dobrze i gęsto tkali“.

Podaje on dokładny rachunek, ile na jakie płótno należało wydzielić przędzy, i kończy praktyczną uwagą, że „dla sieci naprawy, powrozów, postronków z sznurków, także gwoli innym potrzebom i wygodzie domowej, pamiętać należy zostawić konopi nieczesanych“.

W podobny sposób odbywały się wieczory prządkowe po chatach i po domach szlachty zagonowej. Na cel ten wybierano domostwo, które najobszerniejszą izbę posiadało i tu się schodzono dla przędzenia, czasem dla tkania lub dla darcia pierza. Michał Federowski, etnograf polski z doby obecnej, pisze, iż zwykle uczestnicy takich wieczorów siedzą do wieczery, w dniu zaś poprzedzające święta i niedziele dopiero o północy lub nad ranem rozchodzą się na spoczynek. Czas, w którym prządki zaczynają się schodzić, przypada w drugiej połowie listopada i przedłuża się do ostatnich dni mięsopustu. Lud ma przysłowie: „Od Godów do Nowego Roku siedzą prządki do zmroku, a od Nowego Roku do Trzech Króli do samej wieczery“.

Jednak nie znaczy to, by w tych dniach świątecznych robota trwała aż do chwili rozejścia się. W te tzw. Święte Wieczory zebrane pracownice przędły tylko do zmroku. Reszta czasu schodziła im na śpiewaniu kolęd i pieśni nabożnych. Każda dziewczyna, idąca na „prządki“, musiała mieć ze sobą potrzebne przybory, więc przęślicę, kręziołek i motowidło oraz coś do przegrzyzienia, gdyż poczęstunku na tych wieczorach, o ile się po chatach odbywały, zwykle nie rozdawano.

Czasem gromadka wesołych parobczaków, czasem ktoś z wiejskiej starszyzny dotrzymywał towarzystwa prządkom. Po chatach, po małych dworkach,

zarówno jak w czeladziej izbie wielkich dworów, urozmaicano sobie czas przy pracy śpiewem lub opowiadaniem bajek. Nierzadko też ostrzyli się dowcip zebra- nych na zagadkach, często niełatwych do odgadnięcia.

Oto, jak niektóre z nich brzmiały :

— Gadaj mi to : Ma wiele rąk, a jest bardzo mocno związany, upomina nas ku robocie, ma wielką dziurę w żywocie, maca, lubo jest bez rąk, a chłodzi, nie mając nóg, każdy się nim sprawuje, bowiem on nam rozkazuje; powróci wszystko dokonywa, bo mu tę naukę dawa.

Odpowiedź : Jest tam zegar. Tam powrozy naciągają, na których waga wieszają.

Gadaj mi to : Czego Pan Bóg nie zna, papież rzadko, ale prosty chwalić na każdy dzień ?

Odpowiedź : Sobie równego.

Gadaj mi to : Leciał ptak bez pierza na drzewo, będące bez liścia. Przyszła pani bez ust i zjadła tego ptaka.

Odpowiedź : Upadł śnieg na drzewo w zimie. Przyszło słońce i stopiło go.

Dziś, wobec rozwoju przemysłu fabrycznego, wobec upadku domowego tkactwa, len i konopie wędrują od razu do fabryk, a sztuka przędzenia zanika po dworach i po chatach, zanikają też wieczory prządkowe. Szkoda tego miłego, prastarego obyczaju, szkoda tych zebrań, na których wielki i ciekawy skarb pieśni, podań, gadek i przypowieści ludowych tak bujnie się przejawiał.

Marja DYNOWSKA



Nasze góry to zimowej szacie

PRZY KĄDZIELI

...Już o dobrym wieczorze zaczęli się schodzić do Kłębów na oną przęślicową wieczornicę.

Kłębowa sprosiła głównie same starsze kobiety, powinowate sobie, albo w kumostwie będące. Przychodziły też w porę jedna za drugą, ni zawodząc, ni się zbytnio opóźniając, boć każda kuma rada ciągnęła do drugiej, aby się zgwarzyć społecznie i co nowego posłuchać.

Najpierwsza, jak to miała we zwyczaju, przyszła Wachmikowa z kłakiem wełny w zapasce i z wrzecionami zapasowymi pod pachą; potem przyszła Gołębowa, Mateusza matka, skrzywiona, kiej po occie, z obwiązaną gembą, narzekająca wiecznie i ciągiem się skarżąca na wszystko; a po niej, niby -ta rozgdakana, odęta kwoka, przyszła Walentowa, po niej Sikorzyna, chuda, kiej mietła, turkot baba i w sąsiedzkich swarach najzaciętsza; a po niej wroczyła się, gruba kiej beccka, Płoszkowa, czerwona na gembie, spaśna, zestrojona zawdy, dufna w siebie, dworująca nad wszystkie i wyszczekana, jak mała która, ale ogólnie nielubiana; tuż za nią wsunęła się cicho, czajako kiej ten koczur, Balcerkowa, sucha, mała, zawiędła, ponura a sielna procesownica, która z pół wsią za łeb się wodziła i co miesiąc stawiała na sądy; a po niej wlaźła hardo, choć i nieproszona, Kobusowa, Wojtka żona, pleciuch najgorszy i zazdrośnica niepomierna, że strzegli się jej przyjaćielstwa kiej ognia... Przyszła i stara Sochowa, mać Kłębowego zięcia, cicha kobieta, pobożna wielce i wraz z Dominikową najwięcej w kościele przesiadująca; przyszły i drugie jeszcze, insze, ale już nie tak wybrane, o których nie wiada, co rzec, bo podobne sobie, kiej te gąski w stadzie, że nie rozpoznał jednej od drugiej, chyba jeno po obleczeniu — a zeszło się razem sporo babiego narodu i z czym która miała: to z wełną do oprzędu, to ze lnem, to z pakułami, a niektóre z szyciem, albo z tą przygarścią pierza do zdarcia, by ino nie dać pozoru, jako się zeszyły po próżnicy, na rajcowanie.

Sadowiły się wielkim kołem w pośrodku izby, pod lampą, wiszącą u pułapu, kiej te krze na szerokiej grzędzie, rozroste, dostate i późną jesienią owarzone, bo starsze już były, prawie jednolaki.

Kłębowa wszystkim zarówno była rada, witając się z każdą cicho, że to słabowała na piersi i głos miała cedzący, zadychliwy; Kłąb zaś, jako człowiek ludzki, mądry i zgodę ze wszystkimi trzymający, to prawit mite słowa i sam stołki a ławy podsuwał.

Nadeszła później nieco Jagusia z Józką i Nastką, a z nimi jeszcze parę dziewczyn, za którymi sięgali w pojedynkę parobey.

Sporo ludu się nabrało, boć i wieczory były długie, roboty nie mieli żadnej. Zima szła sroga i przykre dnie, to eknito się chodzić spać razem z kurami, gdyż i tak do świtania tyła się jeszcze wyspał i wyleżał, aż boki bolaty.

Porozsadzali się, jak mogli, kto na ławach, kto na skrzyniach, którym zaś parobkom Kłębiaki pieńki przynosili ze dwora, a jeszcze miejsca dosyć ostawało w izbie, bo dom był wielki, choć niski, starą modą pobudowany, pono jeszcze przez Kłębowego pradziada, że rachowali mu ze sto pięćdziesiąt років z okładem; w ziemię też już zapadał, przygarbił się kiej staruch, i strzechami płotów dotykał, aż musieli podporami go wspierać, by się do cna nie zwalił.

Gwar się czynił zwolna, bo cicho jeszcze pogadywały, między sobą tylko wrzeczona jeno furkotały i dudniły po podłodze, a gdzieś tam i kółko warczało, ale niewiele, bo nie dowierzały zbytnio tym nowomodnym wymysłom, wołac prząść po staremu, na przęclicach.

Kłębiaki, a czterech było młodziaków wyrosłych jak sosny i już prawie pod wąsem, skręcali powrósta przy drzwiach, reszta zaś parobków rozwałała się po kątach, kurząc papierosy, szczerząc zęby i prześmiewając się z dziewczynami, że co trochę cała izba się trzęsła od chichotów, a starsze jeszcze rade dokładały swoje, by więcej było do śmiechów i zabawy.

Przyszedł w końcu i wyczekiwany Rocho, a tuż z nim Mateusz.

— Byli już z niedźwiedziem? — zagadnął Rocho...

— Ino ich patrzeć, bo są u organistów.

— Która to chodzą?

— A dyć te wisielaki Gulbasowe i Filipki chłopaki!

— Idą już — idą! zaczęły wołać dziewczyny, bo się rozległ przed domem długi ryk, a po nim głosy różnych zwierząt zaczęły się rozlegać w sieni, bo kogur piał, owce beczały, koń rżał, a przewodził im ktoś na piszczałce; wreszcie drzwi się otwały i przodem wlał chłopak, przyodziany w kożuch do góry wełną, przysmolony na gembie, że jak cygan się widział, a ciągnął za sobą na długim powróśle onego niedźwiedzia, przybranego całkiem w grochowiny, z kożuszczanym łbem, z ruchającymi się uszami z papieru i z ozorem czerwonym, może na łokieć wywalonym; do rąk zaś miał przywiązane kij, okręcone w grochowiny i wrazone w trepy, że chodził niby na czworakach, a za nim szedł tuż drugi wodziciel, ze słomianą pytą i kijem, ostrymi kolcami najezonym, na których tkwiły kawałki słoniny, to chleby, to jakieś pękate torbeczki wisiały, a dopiero za nimi Michał od organisty, na piszczałce przygrywający, i cała hurma chłopaków z kijami, bijąc nimi w podłogę i pokrzykując z całej mocy.

Niedźwiednik pochwalił Boga, zapiał potem kiej kokor, zabezzał jak baran, zarżał niby ogier i zaczął wykrzykiwać.

— Niedźwiedniki my, z kraju dalekiego, zza morza szerokiego, lasu wielgachnego, gdzie ludzie do góry nogami chodzą, gdzie płoty kielbasami grodzą, a ogniem się chłodzą; gdzie garnki do słońca przystawiają, świnię po wodach pływają i deszcze gorzałką padają. Niedźwiedzia my srogo wozdim i po świecie chodzim! Powiedzieli nam ludzie, że w tej wsi są gospodarze bogacze, gospodynie użyczliwe, a dzieuchy piękne. Tosmy przystali z kraju dalekiego, zza dunaju szerokiego, by nas opatrzyli, grzecznie przyjęli i na drogę co dali. Amen.

— Pokażcie, co umiecie, a może się ja was znajdzie co w komorze — rzekł Kłab.

— Pokażemy wraz! Hej! graj piszczało! tańcuj Misiu, tańcuj! — zakrzyczał, kropiąc go kijem, a na to piszczałka wrzasnęła przebieieraną nutę, chłopaki rypnęli kijami w podłogę i nuż przykrzykiwać; wodziciel udawał różne głosy, a niedźwiedź jak skakać na czworakach, ruchał uszami, kłapał ozorem, wierzał, za dzieuchami gonił, a wodziciel niby go powstrzymywał a pytą wokół prał, co wlało, i krzykał:

— Nie znalazłaś se mężyny, naści, babo, grochowiny!

Krzyk się podniósł w izbie, wrzaski, rwetes, bęganina, przegony, piski,

a taka uciecha zapanowała, aż się za boki brali, niedźwiedz zaś wciąż baraszkował, figle stroił, przewalał się na ziem, ryczał, ucieśnie skakał, to dziewczyny brał wpół tymi drewnianymi kulasami i wciągał w tan, do taktu Michałowej piszczałki, a rzekome niedźwiedzniki wraz z chłopakami tak dokazywali, że dziw się chałupa nie rozwalila od tych wrzasków, gonów i śmiechów.

Opatrzyła ich suto Kłębowa, że wreszcie się wynieśli, ale długo jeszcze słychać było na drodze wrzaski i naszczekiwanie psów...

... Usadzili się znów na dawne miejsca i pogwarzali wesoło, dziewczyny zaś z Józką na czele, jako najmilszą, nacisnęły Rocha pod kominem i nuż go molestować, i miłić się przed nim, by opowiedział jaką historię, jak to u Borynów na jesieni... Przynęli mu stołek pod lampę, rozstąpili się nieco, że usiadł w pośrodku, kiej ten stary, siwy dąb na polanie, otoczony półkolem zwartych, pochylonych krzy, i zaczął prawie zwolna i nie głośno.

Cichość ogarnęła izbę, że jeno wrzeczona warkotały, a czasem ogień trzasnął na kominie albo czyjeś westchnienie zaszemrało, a Rocho opowiadał cudeńka różne i historie o królach, o wojnach srogich, o górach, gdzie spi wojsko zakłète, czekając jeno zatrabienia, by się zbudzić i paść na nieprzyjacioly, i pobić, i ziemię ze złego oczyścić... o krajach, gdzie ludzie kiej drzewa, gdzie mocarze, co górami rzucają, gdzie skarby nieprzebrane, przez smoki one piekielne strzeżone, gdzie ptaki-żary, gdzie Madeje, gdzie kije samobije, a one Lele-Polele, a one Południce, upiory, strachy, czary, dziwości! — a drugie jeszcze insze a cudne i wprost nie do wiary, że wrzeczona z rąk leciały, a dusze się niesły w zaczarowane światy, oczy gorzały, lzy ciekły z nieopowiedzianej lubości, i serca dziw nie wyskoczyły z piersi z utęsknienia i podziwu.

Dłgie a głębokie milczenie padło na wszystkich; każdy rozważał słyszane i każdy pełen był świętej cichości, podziwu, dobrośliwości i lęku... A potem zaś zwolna poczęli pogadywać o tym i owym, jak zwyczajnie.

Młódz zaczęła między sobą się prześmiewać, bo Tereska żołnierka zadawała parobkom zagadki uciezne...

„Przez ciała, przez duszy, a pod pierzyną się ruszy?“

Co to jest?

— Chleb, chleb, każdy wie! — wołali, skupiając się koło niej.

— Albo to: „Gonią się goście po lipowym moście“.

— Przetak i groch.

— Każde dziecko o takich zagadkach wie.

— To mówcie drugie, mądrzejsze!

„W koszuli się na świat rodzi, a po świecie nago chodzi“.

Długo zgadywali, aż dopiero Mateusz powiedział, że to ser, i sam zadał taką zagadkę:

„Lipowe drzewo wesoło śpiwa, a koń na baranie ogonem kiwa“.

Zatrudem się domyślili, iż to ma znaczyć skrzypce.

Tereska zaś powiedziała jeszcze trudniejszą:

„Bez nóg, bez rąk, bez głowy i brzucha, a kaj się obróci, wszędy se dmucha!“

Wiater to miało znaczyć; zaczęli się o to swarzyć, prześmiewać i coraz ucieśnniejsze zagadki powiadać, aż się izba roztrzęsla gwarem i wesołością.

Wł. St. REYMONT



Witold

MYŚLISTWO W DAWNEJ POLSCE

Mnóstwo wzmianek o zapalonych myśliwych i o myślistwie, jakie odnajdujemy na kartach naszego piśmiennictwa, świadczą o tym, jak ulubioną rozrywką w Polsce były łowy. Polował od dzieciennych lat Krzywousty, o czym mówią kroniki Gallusa i Długosza. Tenże Długosz opowiada, że łowy były przyczyną śmierci Kazimierza Wielkiego, że Jagiełło dla polowania nieraz o poważnych sprawach państwowych zapominał, a Kazimierz Jagiellończyk umiał polować zimą podczas najcięższych chłodów, gdy ludziom odmrażały się uszy i nosy. Myślistwem parał się i „ostani król, co nosił kołpak Witoldowy”, i Batory, którego równie jak i Kazimierza Wielkiego łowy o śmierć przyprawiły.

Umiejętność łowiecka dostarczała nie tylko miłej rozrywki, jak o tym poucza nas Rej w swym *Zywocie człowieka poczciwego*, gdy się przepióreczkę ugoni, zajączka poszczuje, gdy się ubije sarnę lub wilka

nakryje siecią. Ona stanowiła poniekąd obowiązek każdego rycerskiego człeka. Dlatego to Górnicki każe swemu Dworzaninowi znać myśliwskie rzemiosło. Dlatego też nie brakło u nas dzieł specjalnych, które nabycie tej znajomości ułatwiać miały.

Mysliwiec, wydany w końcu XVI w., wierszowany utwór Bielawskiego, podaje w dość zresztą nieudolnych rymach wskazówki co do różnych „obrotów“ myśliwego.

Musić każdy w tej nizinie
Czuwać o swojej zwierzynie.
Nikom u garść ptak nie skoczy,
Leci precz, gdy go człek zoczy.

Mać świat, bracie, wiele bydła,
A na każde trzeba siłta,
Zabić wilka — piękna sztuka,
Lecz ten ubieży nieuka.

Nie sadź się na swe rozumy:
Mało znajdą takie dumy.
Ucz się czytając me rymy,
Chceszli dostawać zwierzyny...

Masz wiedzieć przebieg niedźwiedzi,
Zając, gdzie sarn, jeleni siedzi.
Nie uciekajże przed wieprzem.
Kwaśnojuchy dobry z pieprzem.

Należy też umieć zażyć i łosia, i żubra, i tura, ba, autor pofolgowawszy fantazji twierdzi, że i o smoka i o salamandrę w ogniu warto się pokusić. Najważniejszą jednak rzeczą jest, by myśliwy nie powracał z wyprawy z pustymi rękami, gdyż torba, napelniona zwierzyną, zawsze i wszędzie zapewnia dobre przyjęcie.

Nie rymami ale prozą poucza nas Ostroróg w pierwszych latach XVII w., jakie ma być *Myslistwo z ogary*. Wreszcie Cygański, współczesny Bielawskiemu, w swym *Myslistwie ptaszym* udziela wskazówek, jak polować na ptaki i jak układać do łowów orły, sokoły, krogulce i jastrzębie.

Zależnie od zwierzyny i od sposobów zdobywania jej, rozróżniano w Polsce rozmaite gatunki łowów.

Otoczano las siecią, ściągając ją coraz krócej. W ten sposób, opowiada Bielawski, lubił polować król Batory, co

...Siecią trzeciorną
Otoczywszy, zwierzynę bierał nieomylną,

Tak pomału sieć onę zaraz ukracano,
Zwierza siecią stuliwszy, co król kazał, brano.

Z rusznicą wyprawiano się na żubry, tury, łosie, sarny i jelenie, wypłoszone poprzednio z ukrycia lesistego przez psy myśliwskie. Broń palna służyła i na niedźwiedzia, którego nieraz wypadało dobijać oszczepem, godząc w serce i jeszcze toporem w ostatecznej chwili sobie często pomagając. Dzik, choć kulą trafiony, bywał częstokroć bardzo groźny, gdyż podrażniony strzałem, wpadał pędem na myśliwego. Wtedy uskokowanie mu z drogi na pierwszy lepszy pieniek było zwykłym ratunkiem, zanim powtórny strzał nie zabił rozjuszonego zwierza. Gdy jednak na tę chwilową ucieczkę czasu nie stało, jedynie silny, przytomnie zadany cios kordelasem wybawiał myśliwego od śmierci.

W zimie, gdy wielkie gromady wilków włóczyły się po okolicy, szkody we wsiach czyniące, polowano na nie z prosięciem, którego kwik zwabiał drapieżne i zgłodniałe zwierzęta. Wtedy myśliwi, jadący gromadnie na wiejskich saniach, zaprzężonych w dobre konie, razili napastników gęstymi strzałami. Czasem jednak, gdy stada wilków były zbyt liczne, gdy konie, spłoszywszy się, wywróciły sanki, tragicznym zgonem wszystkich uczestników kończyły się te łowy.

Wyjazd na polowanie stawał się pewnego rodzaju uroczystością. Wyprawą kierował najdoświadczeńszy z myśliwych. Ruszano zwykle o pierwszym bszasku, wśród wesolego gwaru. Jeśli pora była po temu, niesiono na ręku zakapturzone, dziwnie ustrojone sokoły i jastrzębie. Prowadzono na sforach psy, zwołane uprzednio umiejętnym trąbieniem, a gdy zabrzmiały wesole nawoływania: — Ho do la sa, la la, nuże do la sa — wtenczas bór cały wiedział, jakich będzie miał gości.

Dobry, dobrze ułożony pies był niesłychanie ważną pomocą w polowaniu. Dlatego to Ostoróg we wspomnianym powyżej dziełku twierdzi, iż, „myśliwiec jest jakoby hetman, wódz i sprawca psí, który nimi rządzić ma i sprawować je, używając ich rozrywki i zmysłu, i mocy do słusznego szukania, prędkiego znalezienia — i ugonienia zwierzęcia. Czemu aby dosyć czynił, trzeba, aby go psi słuchali, a to będzie, kiedy go będą miłować i wierzyć mu. Żeby go tedy miłowali, ma się doma między niemi bawić, głaskać, karmić nie tylko u koryta, ale i z wacka (z worka) czemkolwiek na potkaniu, co najeźsiej ma się z niemi pieścić, rozmaicie igrać z niemi...“

Specjalnym kunsztem było trąbienie na psy. Gdy je myśliwy zwoływał, by na sforę przed łowami ująć, wtedy trąbił z przewłoką, to jest pełnym tonem, dodymając, co najdłużej. Psy, zwoływane tym odgłosem zwykle do jedzenia, gromadziły się chętnie. Podczas gonitwy za zwierzem grmiała trąbka krótko i stawała co cztery takty. Wreszcie po szczęśliwie odbytych łowach, jak pisze Al. Maciejowski w dziele *Polska i Ruś* „chelpiący się ze zwycięstwa strzelec, na psy wołając: — Herab, herab! — powolnym trąbieniem dawał znak rozjuszonej zgrai, że już może odpocząć sobie i zwałtłone pokrzepić siły“.

Najbardziej używane nazwy psów bywały: Zagraj, Dyszkant, Kantor, Grzmiłas, Cymbał, Tenor, Urwis, Zagrzyż, Szumłas, Hatas, Ucihi, Dzwonek, Słowik, Trębacz, Przelaj, Zadaj, Kasztan.

Samicom dawano imiona: Duda, Skrzyпка, Lutnia, Plaksa, Lotka, Sarna, Chwytką, Cytra. Wśród chartów najpospolitsze, najczęstsze imiona bywały: Dolot, Capaj, Daskocz, Chwytaj, Położ, Sokół, Strzałak, Zoczna, Szpilka, Sława.

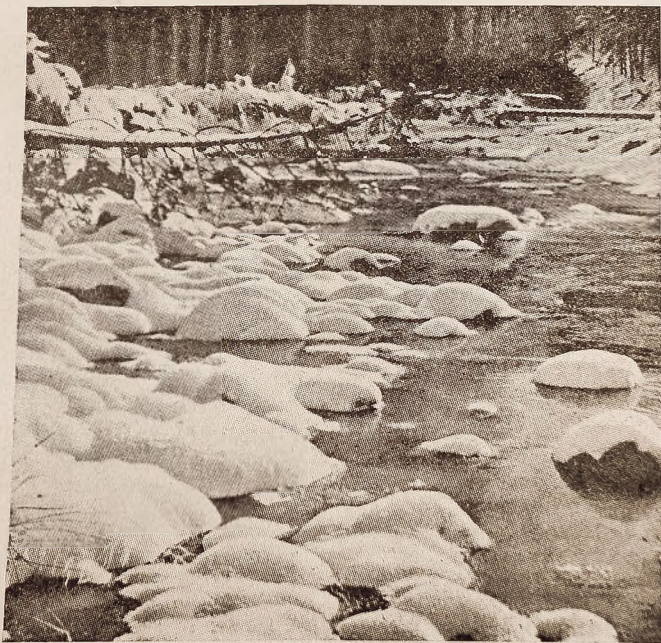
Myśliwi miewali i mają zabobony. W niedzielę lub święta nie należy wychodzić na polowanie, bo się nie poszczęści. Na osadę strzelby

drzewo tak ściąć trzeba, by od razu, bez oparcia się, na ziemię padło. Ścięcie to ma się odbywać przed zachodem słońca. W takiej osadzie fuzja za każdym razem jest pewna. Spotkanie baby nieszczęsne łowy rokuje i jedynym na to ratunkiem — prosić ją, by życzyła pomyślnej zabawy.

Na ogół jednak myśliwy winien wystrzegać się życzeń dobrych łowów, bo one działają wręcz przeciwnie. Pantofel lub trzewik zniszczony, znaleziony na drodze — jest niepomyślną wróżbą. Niedobrze też, gdy się przed łowami śni myśliwemu, że poluje na karym koniu w towarzystwie czarnych żpsów gończych.

Natomiast spotkanie dzieci, młodych dziewcząt lub też praczek, piorących bieliznę nad potokiem, przynosi szczęście.

Maria DYNOWSKA



LEGENDA MURZYŃSKA

Kochana Druhno i Kochany Druhu! Rozłóżcie przed sobą mapę Afryki i przypatrzcie się, jakie kraje, pustynie, rzeki i jeziora, puszcze i góry ją pokrywają. Spróbujcie zrobić po Afryce podróż, jeżdżąc po niej palcem.

Cały olbrzymi teren Czarnego Łądu zamieszkują przeważnie murzyni, dlatego Afrykę nazywamy Czarnym Łądem. Kiedyś mieli oni własne państwa, rządili nimi miejscowi królowie, mieli własne prawa, własne wierzenia. Teraz to wszystko zmieniło się. Ale pamięć o starych czasach jest jeszcze żywa i wśród nich krążą liczne legendy. Jedną taką legendę, którą usłyszałem od druhny Barskiej, mieszkającej na farmie koło Salisbury, (poszukajcie na mapie) dzisiaj Wam opowiem.

— Przed wielu laty na Wysokim Planalcie żył potężny Soba Czipala, król dziedziczny państwa tak wielkiego, że trzeba było tygodni, by głos tam-tamu nadwornego czymbandy dotarł poprzez puszcę dziewiczą i stepy do krańców królestwa. Sławny to był Soba. U żadnego z królów Czarnego Łądu nie było tak pięknych i licznych tancerek przy witaniu pełni wiosennego księżyca, jak u Czipali. Wprawdzie królowa Zeuzina miała też setki niewolników i służbę tak liczną, że czy to na batuce (tańce), czy innej uroczystości nigdy nie siedała dwa razy na tym samym niewolniku, jednak Czipala był potężniejszy! Bydła miał tak dużo po wszystkich kimbach (wioska murzyńska), że prędzej Andombe (pan słońca) przeciągnie przez niebo trzy razy tarczą słoneczną, niż można by doliczyć się połowy. A na polowaniach to już nie było mu równych! I właśnie to go zgubiło.

Pewnego razu, kiedy topór za pas zasadzał i brał do ręki swe oszczepy, przyszedł do niego czymbanda, prosząc go, by nie chodził na łowy, gdyż w nocy rozmawiał z duchami, które powiedziały, że dzień dzisiejszy jest zły. Nie usłuchał Czipala rad czarodzieja i poszedł w puszcę ze swą drużyną. Nic jednak spotkać nie mógł, mimo że przebiegał znane sobie miejsca, gdzie od lat zwykł polować, i że tym razem ministrowie jego wysłali większą ilość tropicieli i naganiaczy. Już dwa dni błąkał się Czipala po puszczy, kiedy nagle na polanie natknął się na stado pu-mu-mu.

Porwał za łuk Czipala i, nim nadbiegający łowczy mógł przeszkodzić, wypuścił strzałę w piersi prowodyra. Zakolebał się potężny ptak, opuścił bezwładnie skrzydła i, wydając z przeszytych piersi siedmiokrotny jęk, padł na ziemię. Zasmucili się ministrowie na widok śmierci ptaka, gdyż wiadomym było każdemu, że nieszczęście zawisło nad

ludem. Za siedem dni, albo siedem tygodni lub za siedem miesięcy — duch świętego ptaka ukaże się!

Przeznaczenie jest bezlitosne. Po siedmiu dniach zaczęły dochodzić wiadomości z kimb, że było potężnego Czipali zdycha. W siódmym tygodniu zaczęły umierać jego najmilsze dzieci. Wreszcie w siódmym miesiącu zmarła niedawno zaślubiona, najukochańsza żona jego, Moreja.

Zrozumiał Czipala, że przez lekkomyślny swój czyn ściągnął na siebie gniew duchów. I kiedy przy dźwiękach pogrzebowych tam-tamów i tańcu żalobnym tancerek chowali drogą sercu jego Moreję, w obawie, by duchy nie mściły się i na poddanych jego, silnym ciosem kantany (szeroki nóż) pozbawił się życia.

Rzucili się ministrowie i dworzanie ratować króla — niestety, ratunku już nie było. Kir wiecznej nocy zbliżał się nieubłaganie. Na moment jeszcze otwały się oczy Czipali. Spojrzał na rozpaczą ścięte twarze swego ludu i zbieleiałymi ustami wyszeptał ledwo dosłyszalne słowa — słowa, które pozostały jako testament w szczepie Czipali: „Czipepa czipła, cziwala czirimba“ — co znaczy „szczęście przemija, ból się zapomina“.

Józef BRZEZIŃSKI, hm.

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE ZIMOWE

Na Nowy Rok przybyło dnia na zajęczy skok.

Królowie pod szopę, dnia na kurzą stopę.

Święta Agnieszka wypuściła skowronka z mieszka.

Na nawrócenie świętego Pawła, połowa zimy przepadła.

Spyta luty — Maszli buty?

Na święto gromnicy napije się bydło na ulicy.

Święta Weronika, słonko pomyka.

Sól świętej Agaty broni z ognia chaty.

O świętej Dorocie wyschną chusty na płocie.

Na świętego Macieja, pierwsza wiosny nadzieja.

Święty Piotr gdy się rozgrzeje, wiosna prędko nie przyspieje.



WODZOWIE RADZA

PRÓBA CHARAKTERU

LUSAKA. Wychodząc z chatki Pstrąg starannie układa na swoim stole kilka kartek. Każdą z nich zdobi wielki, kolorowy znak zapytania. Widząc mój zdziwiony wzrok Wódz uśmiecha się tajemniczo i mimo, że już nikogo oprócz nas w chatce nie ma, mówi najgłośniejszym szeptem:

„Pst... Próba Wodzów“ — Serce zabiło mi radośnie.

To musi być coś cudnego — myślę sobie. Ach, jak świetnie, że dzisiaj już to będzie, za półtorej — dwie godziny!

Korzystając z tego, że mnie nikt nie widzi, (jest ciemno, idę na końcu) podskakuję od czasu do czasu. Wprawdzie moja toga upięta kunsztownie z koca i ... 19 lat trochę przeszkadzają, ale czego się nie robi, jak się jest naprawdę, ale tak na 100 % zadowolonym? A zresztą czuję się w tej chwili, nie jak kandydatka na wodza, ale jak mały zuch, który wie, że Wódz szykuje mu jakąś wielką niespodziankę. Jestem tak przejęta, że całe wieczorne ognisko upływa, jakby we śnie. Przytomnieję dopiero, gdy słyszę, jak Wódz mówi.

„Do dha Zdicha w stołówce 7 sekcji zgłoszą się druhny i druhowie... (następuje kilka nazwisk).

Mego nazwiska nie ma między wywołanymi. To nic, pocieszam się — niewszyscy uczestnicy kursu mają dziś próbę. Jutro przyjdzie na mnie kolej.

Wracam z ogniska ze spuszczoną głową i tak wielkim, wielkim smutkiem w duszy...

Już nazwiska wszystkich uczestników kursu zostały wymienione. Nawet mała Michalinka została wezwana do stołówki na 7 sekcji, a mojego nazwiska tam brakło. Czy dlatego, że przez rok bez żadnego przygotowania prowadziłam gromadę. Pstrąg nie uważa mnie za uczestniczkę kursu i kandydatkę na „Wodzów“? A może chce mnie dać tytuł wodza bez żadnej próby?

Nie, doprawdy gdyby nie to, że jestem jeszcze trochę rozmarzona ogniskiem — wygarnęłabym wszystko Pstragowi! Jest mi tak przykro, tak starsznie przykro że, siedząc w chatce i opisując w pamiętniku dzień dzisiejszy, nie mogę wydobyć z pod pióra nazwy Wódz. Pisał Pstrąg albo dh Zenek. Wiem, że to jest śmieszne, dziecinne, ale trudno... Jestem tak przygnębiona, że częściej siedzę z opuszczonym piórem, niż piszę...

Nagle: stuk — puk!

WODZOWIE RADZA

PRÓBA CHARAKTERU

LUSAKA. Wychodząc z chatki Pstrąg starannie układa na swoim stole kilka kartek. Każdą z nich zdobi wielki, kolorowy znak zapytania. Widząc mój zdziwiony wzrok Wódz uśmiecha się tajemniczo i mimo, że już nikogo oprócz nas w chatce nie ma, mówi najgłębszym szeptem:

„Pst... Próba Wodzów“ — Serce zabiło mi radośnie.

To musi być coś cudnego — myślę sobie. Ach, jak świetnie, że dzisiaj już to będzie, za półtorej — dwie godziny!

Korzystając z tego, że mnie nikt nie widzi, (jest ciemno, idę na końcu) podskakuję od czasu do czasu. Wprawdzie moja toga upięta kunsztownie z koca i ... 19 lat trochę przeszkadzają, ale czego się nie robi, jak się jest naprawdę, ale tak na 100 % zadowolonym? A zresztą czuję się w tej chwili, nie jak kandydatka na wodza, ale jak mały zuch, który wie, że Wódz szykuje mu jakąś wielką niespodziankę. Jestem tak przejęta, że całe wieczorne ognisko upływa, jakby we śnie. Przypominając dopiero, gdy słyszę, jak Wódz mówi.

„Do dha Zdżicha w stołówce 7 sekcji zgłoszą się druhnny i druhowie... (następuje kilka nazwisk).

Mego nazwiska nie ma między wywołanymi. To nic, pocieszam się — niewszyscy uczestnicy kursu mają dziś próbę. Jutro przyjdzie na mnie kolej.

Wracam z ogniska ze spuszczoną głową i tak wielkim, wielkim smutkiem w duszy...

Już nazwiska wszystkich uczestników kursu zostały wymienione. Nawet mała Michalinka została wezwana do stołówki na 7 sekcji, a mojego nazwiska tam brakło. Czy dlatego, że przez rok bez żadnego przygotowania prowadziłam gromadę. Pstrąg nie uważa mnie za uczestniczkę kursu i kandydatkę na „Wodzów“? A może chce mnie dać tytuł wodza bez żadnej próby?

Nie, doprawdy gdyby nie to, że jestem jeszcze trochę rozmarzona ogniskiem — wygarnęłabym wszystko Pstragowi! Jest mi tak przykro, tak starsznie przykro że, siedząc w chatce i opisując w paniećniku dzień dzisiejszy, nie mogę wydobyć z pod pióra nazwy Wódz. Piszę Pstrąg albo dh Zenek. Wiem, że to jest śmieszne, dziecinne, ale trudno... Jestem tak przygnębiona, że częściej siedzę z opuszczonym piórem, niż piszę...

Nagle: stuk — puk!

Do chatki wchodzi drużynowy Zdzych ze słowami: „No, już wszystkie swoje odprawiłem!”

Nareszcie przyszła dobra dusza, równa mnie — wzdycham z ulgą — będę miała komu wygadać!

Wprawdzie dh Zdzych był Bogu ducha winien, ale zawsze bezpieczniej wygarnąć równemu sobie (wyższej władzy czasem strasznie). Nie śpieszę się jednak, bo dh Zdzych nie ucieknie. Przez chwilę rozmawiamy o rzeczach zupełnie obojętnych, lecz w pewnej chwili orientuję się, że dh Zdzis „enfant terrible” robi przy każdym zdaniu takie miny, jakby za chwilę miał parsknąć śmiechem. Jedno z dwojga: albo ma coś do powiedzenia, albo przyniósł za pazuchą jakąś żabę, jaszczurkę, mysz, lub inne przyjemne stworzonko i ma nadzieję (zupełnie nieuzasadnioną), że uda mu się nas przestraszyć. W każdym razie nie bez interesu tu przyszedł!

Prosta droga jest najlepsza! — Po co Druh przybywa — pytam się, zachowując możliwie jak największą powagę.

W odpowiedzi na to, uśmiech i dwie koperty wyjeżdżają z kieszeni wojskowego płaszcza. Jedna dla mnie, druga dla siostry. Na środku czernią się słowa napisane ręką Wodza: „Otworzyć natychmiast. Tajemnica”.

Nie wywołuje to na mnie żadnego wrażenia. Za bardzo byłam przygnębiona przed chwilą, żeby tak prędko otrząsnąć się i zainteresować zawartością. Przecinając bez przekonania brzeg koperty, słyszę jak siostra czyta z namaszczaniem po raz drugi swój napis na kopercie. Ma termin 10 minut późniejszy.

Na ciemny stół wysypuję kilkanaście kawałków pociętej kartki. To dla mnie fraszka! Niedawno każdy zastęp, od chwili mego przybycia, zawsze mi wręczał do składania wszystkie podarte listy z poleceniami. Widać, że opłaca się czasem być ofiarą zastępu. Nim siostra skończyła swe lamenty, że musi tak długo czekać, przede mną widnie już napis:

„Idź do chatki Wodza, nie zapalając światła, odszukaj list. Weź jeden i rób, co tam jest napisane. Uważaj, by Cię nikt nie widział. Czuj! Pstrąg.

Nakładam pas i tak jak stoję wychodzę. Na dworze jest bardzo ciemno, nie ma gwiazd, ale droga do chatki Wodza jest prosta, więc idę szybko i pewnie. Dochodząc do chatki odruchowo sprawdzam stan swego umundurowania: nie wiadomo kogo, albo co mogę tam zastać.

Drzwi są otwarte. Wchodzę do środka i pierwsze kroki kieruję do stołu. Nic nie ma. Na łóżku straszliwy bałagan, ale kartki też nie ma. Wracam na próg chatki i po sprawdzeniu, że na ramie, ani podłodze nie zaczyna się żaden ślad, przeciągam ręką po drzwiach. Palce natrafiają na nóż... nawet dwa noże są wbite w drzewo. Wyciągam jeden z nich i jestem w posiadaniu małej kartki.

Ponieważ nie wolno zapalać światła w chatce, więc po odłożeniu noża na łóżko Wodza odchodzę parę kroków i zastłonięta ścianą innej chatki czytam list: „Idź na miejsce ogniska, omijając drogi tak, aby Cię nikt nie zauważył. Czuj! Pstrąg.

Czuję, jak skóra na twarzy naciąga mi się: Nie dojdę! Przecież ja o pięć kroków nic nie widzę!

Po chwili jednak oczy oślepięone światłem zapałki przyzwyczajają się do ciemności i jednocześnie zdają sobie sprawę, że przecież ja, tchórz zawodowy, który w nocy tylko w pełni odważa się z chatki wychodzić, przeszedłem już taki kawałek po ciemku i teraz stoję w ciemności, a jednak zupełnie się nie boję. To dobrze. Dojdę, muszę dojsć! — postanawiam. Coby powiedział Wódz, gdybym nie doszła?!

Chowam list jak talizman i idę w długą żmudną wędrowkę. Jak długo szłam, ile razy zawracałam z błędnej drogi — nie umiem powiedzieć. Wiem tylko, że szłam bardzo okrężną drogą, zawracałam, kluczyłam, szukałam jakiegoś drzewka, krzaczka, żeby mi wskazał właściwą drogę, a przez cały czas w głowie mi huczała jedna myśl: Muszę dojsć! Muszę!

Wreszcie zdałam sobie sprawę, że zupełnie straciłam kierunek. Nie wiedziałam nawet, w której stronie jest obóz. Ogarnęło mnie straszne zniechęcenie. Taka straszna jestem niezdara, że nie umiem dojsć po ciemku do wskazanego punktu! Z rozpaczą spojrzałem na niebo: może chociaż dojrzę krzyż południa, może kawałek skorpiona... Chmury na niebie przerzedziły się trochę, nawet tu i tam widać gwiazdę, ale samotną, pojedynczą. Nie sposób zorientować się w kierunku... Ale nie! Mam, mam! Przecież ta plama na tle nieba, to korona drzewa stojącego na drodze do „Dewajty“ Przechodząc co dzień koło niego doskonale zapamiętałam sobie jego kształt. O dziesięć kroków stąd musi być ścieżynka w bush'u, prowadząca wprost do miejsca ogniska. Jest. Bieli się bardzo wyraźnie wśród szarej płaszczyzny traw. Teraz się już nie zgubię. Zaczynam iść szybko po ścieżynce, ale czuję straszne zmęczenie, więc idę coraz wolniej, coraz spokojniej. Już widzę kontur „Dewajtisa“... Ścieżynka kończy się... Dokoła „Dewajtisa“ jest ciemno. W miejscu, gdzie płonie zwykle wesole ognisko, wśród szarego popiołu, żarzy się tajemniczo czerwony węgielek. Zupełnie mimo woli przychodzi mi do głowy pierwsze słowa piosenki: „Na Wojtusia z popielnika“... Próbuję się uśmiechnąć, ale usta mam zbyt mocno zwarte, mięśnie twarzy zbyt ściągnięte, aby to uczynić. Zresztą, zaraz myśl zwraca się w innym kierunku. Wiem, że teren dokoła nie jest zupełnie równy i leżą gałęzie, o które łatwo zaczepić, więc idę bardzo wolno. W danej chwili jednak jeszcze bardziej absorbuje mnie fakt, że w kręgu nikogo nie widzę. Mimo, że wysiłam wzrok jak tylko mogę — przed moimi oczami panuje jednostajna ciemność. Niezrażona tym — posuwam się w kierunku mojego siedziska. Nagle o trzy kroki ode mnie odzywa się cichy, niski głos: „Siadź w kręgu na miejscu, na którym zwykle siadasz“. — To głos Wodza.

Normalnie, głos w ciemności przestraszyłby mnie, ale w tej chwili tak ufam, że koło „Dewajty“ nie może mi się stać nic złego, zwłaszcza podczas próby wodzów, że nie czuję żadnego lęku. Przeciwnie, głos Wodza napędza mnie jeszcze większym spokojem, zupełnie obojętnie stwierdzam fakt, że jednak widzę o wiele gorzej niż myślałam. W milczeniu siadam na swoim miejscu. Przez chwilę panuje zupełna cisza, a potem Wódz zaczyna mówić. Chociaż w tej chwili nie myślę o tym, ale wiem, czuję podświadomie, że ta chwila jest bardzo ważna dla

mnie, choćby nawet Wódz powiedział mi, same znane, wiadome rzeczy. Skupiam się więc cała w sobie i nieruchoma wsłuchuję się w słowa i zdania, które biegają do mnie, jakby gdzieś z oddali...

Próba wodzów, to próba charakteru, w której każdy jest sam sobie sędzią... Zastanów się, czyś dobrze wykonała zadanie dzisiejszej próby... czy jesteś zadowolona z tego coś wykonała?...

Pstrąg mówi o obowiązkach wodza... o hymnie wodzów... o pracy dla Polski...

Czerwony, tkwiący w popiele węgielek żarzy się... Cichy, niski głos Wodza potęguje nastrój...

„A teraz na dowód żeś była pod „Dewajtą“ podpiszesz się tutaj“.

Na białą kartkę papieru pada stożek światła z elektrycznej latarki. Mimo, że Pstrąg mówi już głośniej — nastrój jeszcze nie prysł. Jak we śnie biorę podaną mi obsadkę i piszę swe nazwisko. Jakże chętnie pozostałabym tu dłużej, ale głos Wodza nakazuje coś innego: „Wróć teraz do chatki, opisz w dzienniczku dzisiejszy wieczór. Możesz wracać drogą. W czasie powrotu myśl o tym, coś tu usłyszała. Tajemnica obowiązuje do jutra, do godziny 11 rano“.

Wstaję. Chcę powiedzieć: CZUJ, WODZU, ale nawet ustami poruszyć nie mogę. Odchodzę więc bez słowa.

Na niebie bieli się mleczna droga, świeci krzyż południa i gwiazdy wesoło mrugają.

Czemu ich przedtem nie było?

Barbara CHMIELEWSKA



*Odprawa drużynowych i wodzów suchotnych
w Lusuku*



Kier. wzniesienia w Ranaję

M Y S Ł E O L I S T A C H

Wyjechałem z Afryki. Potem wiele podróżowałem. Koleją, statkiem, samochodem. Chodziły za mną listy. I spotykałem w różnych okolicach świata listy od przyjaciół, których zostawiłem na Czarnym Lądzie.

Myslałem — będzie kłopot... Jak ja im wszystkim odpiszę? Bo i czasu mam teraz niewiele a roboty huk. I tak trudno — z podróży. Żeby napisać, trzeba się zastanowić, namysleć. Bo listy są często ciekawe, ważne i o różnych mądrych rzeczach.

Kiedy przejeżdżałem przez Jerozolimę, przyszedł mi taki pomysł: napiszę do gazety — dla wszystkich. Może każdy znajdzie coś dla siebie. I potem znowu odpiszę o swoich sprawach. Tak będzie najlepiej.

Jeszcze w Afryce otrzymałem jeden ciekawy list. Nie przyszedł przez pocztę i był bez koperty. A było to tak:

— Przyjechałem do osiedla, w którym byłem pierwszy raz. Zapoznalem się w szkole z dziewczętami i chłopcami. Rozmawialiśmy o różnych sprawach. I powiedziałem, że jeżeli ktoś chce jeszcze o co zapytać, chętnie mu zawsze odpowiem. Na trzeci dzień przyszedł do mnie jeden chłopiec. Opowiadał o różnych swoich sprawach. Potem mówiliśmy o planach na przyszłość. W pewnej chwili przyszło mi na myśl dowiedzieć się, jaki ten chłopiec ma charakter pisma. Powiedziałem: — Napisz coś.

Chłopiec usiadł przy stole, ale się zaczął wstydzić. — Nie wiem co napisać. — Napisz co chcesz.

Wtedy wziął pióro i zaraz napisał: „Ja chcę, żeby Pan został w naszym osiedlu“.

To był właśnie list do mnie. Musiałem na to odpowiedzieć. Spytałem jeszcze: — Po co?

— Bo jak Pan pojedzie, nie będzie z kim rozmawiać o ważnych rzeczach. I pewno nie uda mi się być lepszym.

Zmartwiłem się. Chłopiec miał trochę racji. Zawsze lepiej się udaje pracować nad sobą, kiedy ktoś pomoże. Niedawno inny chłopiec tak napisał:

— I teraz postanowiłem najpierw wyrobić silną wolę, a potem charakter. Przy wyrobieniu mego charakteru będzie mi bardzo trudno, ale myślę, że silna wola i pomoc mych kolegów, o co ich bardzo prosiłem, pomogą wszystko zrobić.

Ale ten drugi list napisał już starszy chłopiec, który potrafi lepiej dać sobie radę. A ten pierwszy był mały, czternastoletni. Musiałem mu więc odpowiedzieć. I postarałem się wytłumaczyć jedną bardzo ważną rzecz.

Powiedziałem, że wszyscy ludzie starają się być lepsi, coś zdziałać, coś zrobić najwięcej dla dwóch powodów: albo, że kogoś lubią, albo, że kochają jakiś ważny i wielki cel. Taki cel nazywa się „idea“. Wiele dziewczynek chętniej się uczy lekcji i lepiej się zachowuje wobec nauczycielki, która jest dobra, którą kochają. Chłopcy chętniej

coś zrobić dla dobrego, miłego kolegi, niż dla takiego, który „mądrzy się“ i udaje ważnego. Przyjemniej i łatwiej dobrze się sprawować, jeżeli nauczyciel albo drużynowy to zauważą, pochwalą i jeszcze poradzi, jak być coraz lepszym, — niż wtedy, jeżeli nikt nie zwraca uwagi.

Ale to bardzo źle, jeżeli ktoś stara się być dobrym tylko dlatego, żeby go pochwalili albo dlatego, że kogoś lubi. Bo czasem bywa tak:

Jedna dziewczynka powiedziała: — Nie chcę się zapisać do Sodalicji, bo nie lubię księdza.

A inna: — Wypisałam się z Harcerstwa, bo hufcowa, którą bardzo lubiliśmy, wyjechała.

Wtedy właśnie przychodzi na myśl bardzo ważne pytanie: — Czy taka dziewczynka albo chłopiec pracowali nad sobą i dla drugich tylko dla swoich ulubionych kierowników, czy dlatego, że kochali i chcieli służyć jakiemuś wielkiemu celowi, jakim jest najprzypiek służba Bogu i Polsce.

Bo ta druga służba jest dopiero ważna. I często służy się jakiejsi idei nawet wtedy, kiedy człowiek jest zupełnie sam, i nawet wtedy, kiedy wszyscy ludzie dokoła są przeciwko niemu. I właśnie dlatego tylko przez służbę jakiejsi wielkiej idei człowiek uczy się być mocny, śmiały, nieustępliwy i dzielny.

Temu chłopcu tak odpowiedziałem:

— Widzisz, mówiliśmy wiele o twoich planach w życiu. Jaki chcesz być. Jaki będziesz. Jak to osiągnąć. I mówiliśmy, co chcesz zrobić dla innych. Jak będziesz prowadzić swój zastęp harcerski i jak pomagać drużynowemu. Rozmawialiśmy ciekawie i przyjemnie, bo i ty i ja jesteśmy w służbie tej samej idei, mamy taki sam cel, żeby w Polsce było lepiej i żeby świat był lepszy. Widziałem, że rozumiesz i kochasz tę ideę. I dlatego ja teraz mogę sobie pojechać. Bo teraz ty właśnie będziesz wciąż o tym myśleć i starać się. I żeby nas było coraz więcej. Ale nawet, gdybyś został sam, tobyś się już nie dał.

Chłopiec słuchał bardzo uważnie. I wtedy opowiedziałem mu jeszcze takie prawdziwe zdarzenie:

— Jeden z naszych sławnych dowódców otrzymał awans na generała dywizji. Wieść szybko rozeszła się po obozie. Po chwili zebrali się wszyscy jego oficerowie, rozradowani miłą wiadomością. Wznosili okrzyki na cześć generała i składali mu życzenia. Generał cieszył się także, ale była to radość głębsza. W pewnej chwili przemówił: powiedział, że awans to zawsze zaszczyt i radość, że to dowód uznania. Ale to uznanie jest nie tylko dla osoby tego, który dostępuje zaszczytu. To jest przede wszystkim świadectwo, że najwyższe władze Polski cenią tę ideę, którą generał reprezentuje, której służy od wielu lat: — ideę wierności i ścisłego związku Ziemi Wschodnich z całością Rzeczpospolitą. I dlatego nie cieszy się tylko sam, ale cieszy się, że i to zaszczytne wyróżnienie jest ważnym etapem i dorobkiem w służbie dla Sprawy Polski.

Tak rozumie te sprawy generał i tak powinien rozumieć każdy, nawet mały chłopiec. Wkańdej pracy ma szukać nie własnej radości, nie żeby się komus podobać, albo sprawić przyjemność komu, kogo

się lubi, — ale musi rozumieć swój najwyższy cel, swoją ideę, dla której żyje.

Często trudno samemu. Tyle przeszkód. Żeby ktoś pomógł. I nie ma. Aż się chce machnąć ręką. Niech tam będzie, co ma być. Nie dam rady i tyle. Za wielkie przeciwności. Co wtedy robić?

Pomyślałem o tym, bo inny znów chłopiec napisał do mnie list, w którym była jedna bardzo mądra myśl w zakończeniu:

„... i życzę, żeby wszystkie trudności stały się przyjemnością“.

Zastanowiłem się. Ma rację. To jest cała tajemnica ciekawego i pięknego życia. Zwycięstwo przynosi radość. Nie ma zwycięstwa bez przeszkód. Przeszkody są więc potrzebne, żeby były zwycięstwa, i żeby była radość.

Prawda. Tylko tego przerażają nieszczęścia, który nie umie zwyciężać. Człowiek dzielny często szuka przygód, żeby zakosztować radości zwycięstwa. Tchórz boi się życia i chowa się przed trudnościami. Tymczasem nie trzeba się ich bać, bo przecież można z nich nawet korzystać...

I kiedy tak myślałem o odpowiedzi na ten list, przypomniał mi się nagle wiersz jednego z naszych największych poetów-filozofów, Cypriana Kamila Norwida.

Postanowiłem ten wiersz przepisać.

F A T U M

Jak dziki zwierz przyszło nieszczęście do człowieka

I obróciło nań fatalne oczy,

Czeka,

Czy człowiek zboczy.

A on odejrzał mu, jak gdy artysta

Mierzy swojego kształt modelu.

I spostrzegło, że on patrzy, co skorzysta

Na swym nieprzyjacielu.

I zachwiało się całą postaci wagą,

I nie ma go. —

Myszę, że wiele dziewcząt i wielu chłopców z Afryki będzie miało w życiu dużo nieszczęść i trudów. Wszyscy będziemy mieli. Jedni przyjmą je śmiało, pokonają i będą coraz dzielniejsi i mocniejsi. I będą odważni i twardzi. Dużo ich będzie. Inni może się załamają. Nie starczy im mądrej dzielności. Ale wtedy ci pierwsi im pomogą. I nie dadzą zginąć. Tak jak już często bywało i bywa wciąż, że jeden dzielny potrafi wielu od klęski ocalić.

I wtedy dopiero poznają najgłębszy smak życia. Głębką radość twardego życia wśród przeszkód.

Dr Wiktor SZYRYŃSKI, hm.

O KSIĄŻKACH



Ż O Ł N I E R Z E Ś P I E W A J Ą

— No, chłopcy, pójdziemy dziś do pracowni pana Wojciecha!

Gdy ojciec mówił tak do mnie i do moich braci, nie było większego dla nas święta, radośniejszej chwili. Słowa te bowiem oznaczały, że znowu otworzy się przed nami zaczerpnięty świat bajki rycerskiej, pełen zbroi, szyszaków, bogatych rynsztunków, nierzadko narzucanych na modele koni naturalnej wielkości, których dosiadanie należało z reguły do nadzwyczajnych przyjemności.

Koledzy zazdrościli nam tych wizyt i po każdej z nich szczegółowo wypytywali, cośmy nowego widzieli u pana Kossaka. Raz była to zbroja husarska, podarunek księcia Czartoryskiego, innym razem skóry lamparcie, przywiezione z dalekich wypraw myśliwskich przez ordynata na Łańcucie, innym znów razem kopia mundurku księcia Pepi, pochodząca z Antonińskich zbiorów, w której syn pana Wojciecha, Jerzy, chętnie się pokazywał na balach maskowych pod Baranami.

Dla nas, młodych wówczas chłopców, najbardziej emocjonującą była bliskość obcowania z wszystkimi tymi „cudami“, które na co dzień mogliśmy tylko oglądać i to z przyzwyczajonej odległości, za ogrodzeniami stoickiego Krakowskiego Muzeum Narodowego.

Opowiadając kolegom o naszych przeżyciach w pracowni pana Wojciecha, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że przedmioty, na które wtedy patrzyliśmy, którymi bawiliśmy się jak zabawkami dla dorastających dzieci, były współczynnikami sztuki wielkiego artysty, elementami niejednej, wyzarowanej jego pedzłem, epopei o reza polskiego.

Dziś, po tylu latach, sposobność napisania recenzji o zbiorze pieśni żołnierskich przywodzi mi na pamięć jedną z takich wizyt. Było to w początkach lata, pamiętnego roku 1914. Wracaliśmy z ojcem ze spaceru w Oleandrach, gdzie nie mogliśmy się dość napatrzeć ćwiczeniom drużyn strzeleckich Józefa Piłsudskiego. Drogą powrotną przechodziliśmy przez plac Juliusza Kossaka, a że ojciec miał tego dnia wyjątkowo więcej czasu dla nas, wstąpiliśmy do pracowni pana Wojciecha. Zaraz na wstępie uderzył nas widok ogromnego płótna, umieszczonego na sztalugach, na środku atelier. Syn Jerzy kończył właśnie zbieranie pedzli i palet, pokrytych tęczą kolorowych kleksów. Przywitawszy się z nami, zaczął objaśniać temat kompozycji i wymienić jej tytuł, który brzmiał: „Noch ist Polen nicht verloren“. Nie pomnę dziś, czy oglądałem wówczas oryginał, czy też kopię obrazu, wykonanego na zamówienie Wilhelma II do zbiorów jego zamku w Poznaniu. Ale to nie jest ważne. Obraz przedstawiał pułki poznańskie armii Blüchera, idące do ataku w takt Mazurka Dąbrowskiego, granego przez umieszczoną na pierwszym planie orkiestrę grenadierów pruskich. Wrażenie, jakie obraz sprawiał jako kompozycja malarska, było silne. Lecz silniejszą była ironia artysty, bijąca z treści obrazu, z połączenia elementu polskiej muzyki narodowej z pikielhaubami bismarkowskich muzykantów. Pan Wojciech, który tymczasem wyszedł do nas, w te odezwał się słowa:

— Chodziło mi o przedstawienie perfidii niemieckiej, a na jej tle tragedii poznańskiego chłopca. Wątpię jednak, czy cesarz zrozumie, co miałem na myśli.

Prawdopodobnie Wilhelm II jednak nie pojął intencji wielkiego malarza, skoro kazał obraz umieścić w galerii poznańskiego zamku, skąd go wywieziono do Berlina dopiero w dniach klęski cesarstwa. Dla nas, oglądających wówczas co dnia wóz Drzymły pod Baraką, ten właśnie obraz Kossaka, który być może powstał pod wpływem sienkiewiczowskiej legendy o Bartku Zwiączytce, był jeszcze jednym, żywym rozdziałem historii najbardziej umęczonej dzielnicy polskiej.

Dziś, gdy wspomnienia napływają szeroką falą, zdaje sobie sprawę, że widziany wówczas obraz mógłby stanowić najlepszą ilustrację wielkiego wpływu pieśni na psychikę żołnierza — jej doniosłej roli, jaką zawsze odgrywała jako nieodłączna towarzysząca jego doli i niedoli.

Bo czymże pieśń była i jest dla żołnierza, jak nie ukojeniem jego tęsknot za rodziną, domem a często i krajem ojczystym — jak nie zapomnieniem w bólu po stracie wiernego towarzysza broni — krynicą pogody ducha w przewycięzaniu trudów twardej służby *żołnierskiej* — wspaniałą podniętą do bohaterских czynów? Czymże byłby żołnierz, gdyby mu pieśń zabrano? Gdyby nie mógł więcej z pomocą słów jej i melodii radować się i smuć, skarżyć się i chwalić? Myślę, że psychika jego uległaby wówczas zupełnie zalamaniu się, że miałyby to o wiele większy wpływ na niego, niż najgroźniejsze działania bomb i granatów. Rozumieją to dowódcy i każą żołnierzowi śpiewać. Tak więc, pieśń towarzyszy mu w marszu i na postojach. Zagrzewa do bitwy, a po niej do snu kołysze. Nosi ją żołnierz głęboko w sercu — jak relikwię świętą, gdy pieśni tej uczyła go matka, gdy pieśń tę zrodziła ziemia ojczysta. Z nią na ustach szedł w obce kraje i z nią wrócił po ojcowiskich strzechę!

Na tej dalekiej drodze, pełnej chwały, ale i chwil gorzkiej strawy, w duszy niejednego z szarego tłumu *żołnierskiej* braci poczęła się pieśń nowa, drgająca od bólu i zwątpienia, cząsteczej przepelniona wiarą i oddaniem Tej, co nie zginęła...

W rytm tej pieśni poszły szeregi nasze z łagrów Północy na piaski Bliskiego Wschodu, z jej melodią na ustach pomaszzerował żołnierz polski na historyczny szlak Legionów Dąbrowskiego.

I nadeszła teraz chwila sposobna, by pieśń tę utrwalić, uczyć jej innych, przekazać potomnym. Któż miał to uczynić, jak nie żołnierze? Może nie ci, co sztukę wojowania za zawód przyjęli, ale ci właśnie, co nosząc w duszy umiłowanie dla sztuki muzycznej i znając bogactwo form jej wypowiedzi, przywdziali szary mundur na czas walki o wolność Ojczyzny.

Leży przede mną zbiór pieśni, opracowany właśnie przez takich dwóch artystów-żołnierzy, Adama Dylągę i Wiarosława Sandelewskiego, a wydany pod tytułem „W marszu” przez ruchliwy Oddział Propagandy i Kultury A.P.W. —

Jak wskazuje notatka, zamieszczona na wstępie, tomik „W marszu” jest pierwszą częścią obszerniejszego materiału, którego druga część ma się dopiero ukazać i zawierać będzie *pieśni*, śpiewane na postojach. Już sam tytuł „W marszu” mówi nam o charakterze tu zgrupowanych melodii i powinien był przesądzić ich dobór. Dlatego do pewnego stopnia niespodzianką jest zamieszczenie w pierwszym rozdziale (Pieśni przedwojenne) takich pieśni, jak *Bogurodzica*, *Boże coś Polskę* lub *Rota Konopnickiej*. Gdy jednak zważymy, że autorom nie zależało na zachowaniu naukowej systematyki i gdy przyjmijemy, że układ pierwszej części zbioru jest raczej literacki, niż naukowy — genetyczny, a nie kwalifikacyjny, wówczas zrozumiemy owe uchybienia w systematyce i zgodzimy się na przyjęcie celowości za podstawę oceny. To, co autorzy chcieli dać żołnierzowi do śpiewania w marszu, wyczerpuje do pewnego stopnia repertuar *pieśniowy* o tym typie, dostępny nam na obczyźnie, a w rozdziałach, obejmujących twórczość współczesną (Szkocja, Rosja, Śr. Wschód), wykazuje rzadkie bogactwo. Samo opracowanie dwugłosowe, bardzo staranne, może nasunąć pewne wątpliwości w odniesieniu do wierności reprodukcji niektórych fragmentów dawnych melodii. Nie obniża to jednak w niczym wartości zbioru, a może stanowić jeszcze jeden dowód różnorodności wersji, w myśl zresztą założeń *idiomatografii*.

Pięćdziesiąt dwie pieśni, wypełniające tomik, staranną sztuką drukarską wykonany, powędrują do niejednego plecaka, by towarzyszyć żołnierzowi naszemu w marszu do Ojczyzny. Świadomość tego stanowi dla autorów najwyższą niewątpliwie nagrodę za ich trud i pracę, wykonaną w warunkach wyjątkowo ciężkich.

Kiedyś, po latach, gdy ręce dziecka polskiego sięgną po mocno przynieszoney tomik śpiewnika „W marszu”, widnieć może na nim będzie niejeden ślad wrażeń kuli, niejedna wyblakła plama po kropli krwi serdecznej, przelanej na szlaku, który wiódł do Polski — niepodległej!

Juliusz Leo

BIBLIOTEKA KATOLICKO - SPOŁECZNA

Katolickie Duszpasterstwo Polskie w Palestynie od kilku miesięcy redaguje bibliotekę Katolicko-Społeczną, w programie której przewiduje spopularyzowanie literatury religijnej i społecznej. Dotychczas ukazały się następujące broszury:

- 1 Myśl Religijna w narodzie — Ks. arcybisk. Teodorowicz
- 2 O miłości ojczyzny — Ks. arcybisk. Teodorowicz
- 3 Katolicyzm, a czasy obecne — Ks. biskup Ottokar Prohaska.

W najbliższym czasie ukazać się następujące:

- 4 Istota katolicyzmu a człowiek dzisiejszy — prof. Dr Karol Adam
- 5 Moralność niezależna i jej zgubne skutki — prof. Dr Z. Kozubski

- 6 Moralność katolicka podstawą życia narodowego i państwowego — prof. Dr W. Wichur
 7 Zepsucie obyczajów ruiną narodu — ks. biskup Wł. Jasiński
 8 Czy jest Bóg? — ks. Stanisław Zaleski T. J.
 9 Czy znasz siebie? — ks. biskup Bougaud
 10 Czy znasz Boga? — ks. biskup Bougaud
 11 O nieśmiertelności duszy ludzkiej — ks. Stanisław Zaleski T. J.
 12 Człowiek bez religii i Boga — ks. Biskup Bougaud
 13 Rodzina bez Boga — ks. biskup Bougaud
 14 Upadek rodziny drogą do upadku społeczeństwa — ks. J. Rostworowski T. J.
 15 Społeczeństwo bez Boga — ks. biskup Bougaud
 16 Państwo bez Boga — prof. Dr A. Borowski
 Broszury w cenie 50 milów za egzemplarz nabywać można w Katolickim Duszpasterstwie w Palestynie, Jerozolima P. O. B. 1241 Stary Dom Polski.
 Kierownik Katolickiego Duszpasterstwa Polskiego w Palestynie

Ks. kan. Stefan PIETRUSZKA

NASZA PRASA

ZNICZ. Pod takim tytułem ukazał się miesięcznik hufca harcerskiego w Koji, wydany przez Referat prasowy tegoż hufca. Są w nim przedruki i prace oryginalne w liczbie 17: dla harcerzy i zuchów, a przewija się w nich mocna i twórcza postawa młodzieży harcerskiej w Koji, tak pięknie wyrażona przez dhnę F. Morawską w artykule wstępnym, że uważamy za konieczne przytoczyć te słowa dla całej młodzieży harcerskiej.

— Obecnie, gdy Polska potrzebuje dzielnych ludzi, nie wystarczy tylko mówić i załamywać ręce nad cierpieniami innych, ślać westchnienia za tych, którzy walczą — trzeba codziennym życiem dopomóc w tej walce. Waszym udziałem jest w dogodnych i spokojnych warunkach uczyć się pracować nad sobą, aby być dobrym i dzielnym Polakiem.

Prosimy o następne numery miesięcznika.

GŁOS HARCERZY, pismo młodzieży harcerskiej hufców w Tengeru, w numerze 12 przynosi materiał w związku z okresem świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Tęsknotę za Polską i głęboką wiarę w lepsze Jutro najlepiej oddaje wiersz:

— Lecz my, dzieci, wiemy w duszy na dnie, chociaż o tym nie mówimy nikomu, że nam jeszcze takie szczęście przypadnie — dobre święta w nowym własnym Domu!

A właśnie, o tym trzeba mówić i podtrzymywać ludzi na duchu!

Artykuł pfm. J. Daszkiewicz a Neapolu z cyklu Wojennym Szlakiem A.P.W. świadczy o żywych kontaktach naszych harcerzy. Pismo redaguje i wydaje Krąg Starszoharcerski ZNICZ w Tengeru. Gratulujemy!

ECHO Z DIGGLEFOLD w numerze 4 na wstępie zamieszcza podsumowanie pracy swego hufca (harcerek) od czasu reorganizacji — 15. IX. 1944 r. Podajemy je w dziale kroniki. Dalej idzie artykuł o Walczącej Warszawie, która swym bezprzykładnym bohaterstwem obudziła sumienie świata, następnie: opis zbiórki 2 drużyny, ZADUSZKI, OGNISKO, 11 LISTOPAD, później opis wycieczki zastępu, WYSTAWA NASZYCH ROBÓTEK (również zamieszczamy w SKAUCIE), a na zakończenie I ZNOWU NADCHODZĄ ŚWIĘTA. — Oby ostatnie już na tulaczce. Komitetowi Redakcyjnemu tego pożytecznego miesięcznika należy się uznanie za pracę.

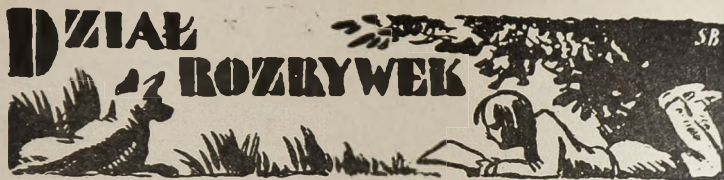
SKAUT od stycznia 1945 roku staje się pismem młodzieży. Ma on także ułatwić pracę zastępowemu i drużynowemu. Wypowiedzi instruktorów harcerskich, starszych harcerzy oraz głosy osób z poza naszej organizacji a interesujących się zagadnieniami wychowawczymi, znajdują się na szpaltach wydawnictwa pt. HARCERSTWO NA WSCHODZIE, które ukazywać się będzie co drugi miesiąc pod redakcją hm. Zygmunta Szadkowskiego.

Z powodu strajku pracowników cynkografii nie mogliśmy wydać numeru styczniowego, dlatego niniejszy Nr 1-2 wydajemy w podwójnej objętości.

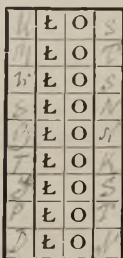
Pismo młodzieżowe winno być zbiorową pracą samej młodzieży. Prosimy więc o większy udział w tej pracy. Wskazówek udziela ją nasi wizytatorowie oraz instruktorzy.

Prosimy o nadsyłanie, do Komendy ZHP. na Wschodzie po 2 egzemplarze wszystkich wydawanych przez poszczególne komórki naszej organizacji periodyków, broszur i ulotek.

REDAKCJA



ZADANIE



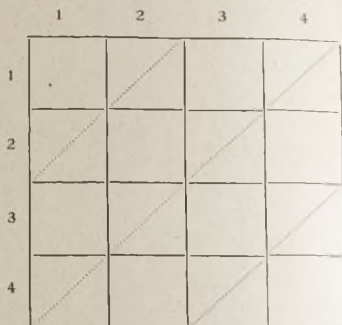
Spróbujcie odnaleźć takich dziewięć wyrazów, któreby składały się z czterech liter, przy czym miały dwie środkowe jednakowe.

Za trafne rozwiązanie ZADANIA, lub KRZYŻÓWKI przeznaczają się po jednej książce w cenie 400 milsów, za PIRAMIDĘ — książkę pt. OLSZYŃKA GROCHOWSKA. Kto rozwiąże wszystkie — otrzyma powieść KRZYŻACY w sprawie.

Termin ostateczny nadsyłania rozwiązań — 30 kwietnia 1945 roku.

Czy umiesz pamięciowo mnożyć dowolną liczbę dwucyfrową przez 11? Np. masz liczbę 24 i chcesz ją szybko pomnożyć w pamięci przez 11. Między 2 (pierwszy składnik) a 4 (drugi składnik) wstaw sumę tych cyfr, tj. 6 ($2 + 4$) a otrzymasz iloczyn 264. Sprawdź, czy wynik jest dobry i pomóż przez 11 w podobny sposób w pamięci liczby: 31, 43, 52, 72, a dla odmiany zastanów się, czy dałbyś sobie radę i ustalił regułę przy mnożeniu przez 11 takich liczb dwucyfrowych, jak: 39, 47, 56, 68, 92 i inne.

KRZYŻÓWKA

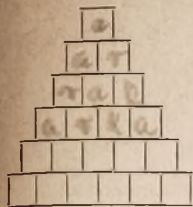


- 1 rząd pionowo i poziomo = inaczej ziemia
- 2 „ „ „ = reszta z mętnej wody
- 3 „ „ „ = górskie zwierzę
- 4 „ „ „ = imię męskie

W każdym z zakreślonych kwadratów (wzdłuż linii) winny być jednakowe litery.

HUMOR

- Przecież 6 i 6 to będzie zawsze 12, tak, czy nie, Janku?
- Nie zawsze, Marylko!
- ? ? ? ?
- Bo jeżeli napisać 6 i 6 obok siebie, to będzie sześćdziesiąt sześć. No, nie?



PIRAMIDA

W pierwszą górną kratkę wpisząc jedną samogłoskę. Następnie, dodawszy do niej spółgłoskę, uformujcie wyraz, oznaczający miarę powierzchni. Po dodaniu do tego jeszcze innej litery — stworzenie wodne, potem statek Noego, dalej sprzęt kuchenny, wreszcie pojazd.

R Z E C Z Y C I E K A W E

Tajna bron

„40 minut zmieniły bieg wojny“ Tak nazywany jest dokonany nocą 17 sierpnia 1943 r. nalot 600 ciężkich bombowców R. A. F. na stację doświadczalną Luftwaffe w Peenemuende nad Bałtykiem, o 100 km na ptn.-wsch. od Szczecina.

Od chwili, kiedy Hitler stracił nadzieję na pokonanie W. Brytanii siłą swego lotnictwa, postanowił to uczynić za pomocą „tajnej broni“. Kwiat nauki niemieckiej — kilka tysięcy profesorów, inżynierów i techników zostało zgromadzonych w wielkim obozie, ukrytym wśród lasów i otoczonym drutami, po których przepływał prąd o wysokim napięciu. Rozpoczęła się gorączkowa praca, której celem miało być przygotowanie ofensywy „latających bomb“ na Anglię zimą 1943/44.

W lipcu 1943 r. wywiad brytyjski ostatecznie ustalił, jak ważne doświadczenia odbywają się w Peenemuende. Na tej podstawie specjalny komitet gabinetu brytyjskiego, zajmujący się tą sprawą, uchwalił natychmiastową akcję. Wybrano pierwszą noc pełni księżycowej. Lotnicy przed startem zostali poinformowani o niezwyklej ważności ich misji. Załoga obozu w Peenemuende zupełnie nie oczekiwała ataku. Samoloty sojusznicze stałe bowiem przelatywały w pobliżu, kierując się ku różnym celom, ale Niemcy byli pewni, że nikt nie zna ich tajemnicy. To też lotnicy brytyjscy napotkali tylko na bardzo słaby ogień artylerii p.-lotniczej.

Następnego dnia wywiad lotniczy ustalił szkody, spowodowane bombardowaniem: z 45 domów, w których mieszkali uczeni, połowa była zrównana z ziemią, reszta silnie uszkodzona; 40 budynków, mieszczących laboratoria i warsztaty — zniszczono; 50 — uszkodzono. Z 7.000 uczonych, którzy pracowali przy doświadczeniach, zabito 5.000, w tym szefa sztabu Luftwaffe oraz kierowników jej działu naukowego i technicznego.

Dzięki temu jednemu nalotowi Niemcy musieli rozpocząć od nowa swoje badania. To spowodowało, że latające bomby, zarówno V-1 jak i V-2, zostały użyte o przeszło pół roku później niż pierwotnie zamierzano i nie zdołały przeszkodzić armiom sojuszniczym w dokonaniu inwazji na kontynent, co miało być ich głównym celem.

Cudowny środek

Dobre wiadomości nadeszły z najważniejszego dla ludzkości frontu — frontu walki z bakteriami. Jak wiadomo, nowy cudowny środek bakteriobójczy — penicyllina była dostępna jedynie dla żołnierzy armii sojuszniczych, rannych na froncie. Powodem tych ograniczeń była niedostateczna produkcja. Jakkolwiek wynalazcą penicylliny jest Anglik — Alexander Fleming który niedawno otrzymał nagrodę Nobla, to ze względu na wielkie trudności techniczne masową produkcję zorganizowano tylko w Stanach Zjednoczonych.

W połowie roku 1943 ta produkcja była tak mała, że wystarczała tylko na leczenie miesięcznie około 1.000 poważnych wypadków. Nic dziwnego, że w tym stanie rzeczy penicyllina była dobrodziejstwem tylko dla nielicznych.

Od tego czasu produkcja wzrastała z błyskawiczną szybkością z miesiąca na miesiąc. Ostatnio ogłoszono, że w końcu b. r. będzie ona tak wielka, iż wystarczy dla leczenia miesięcznie 250 tys. przypadków. Dotyczy to tylko Ameryki, ponad to inne fabryki budowane są w Anglii. W ciągu roku cena penicylliny spadła sześciokrotnie i należy oczekiwać dalszego jej spadku.

JAK ZBUDOWAĆ TELEFON

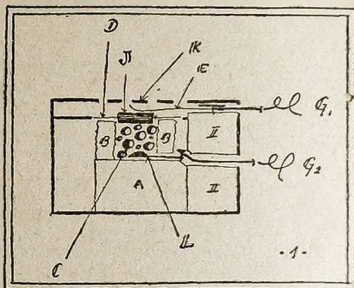
MATERIAŁY: Okrągłe pudełko, stare baterie, cienka blacha stalowa, pluskiewki stalowe, gruby drut żelazny, szpulka od nici, papier pergaminowy, cienki izolowany drut miedziany.

Telefon współczesny różni się od pierwszego telefonu Bell'a tym, że mikrofon i słuchawka są odmiennie zbudowane, podczas gdy w telefonie Bell'a mikrofon mógł spełniać rolę słuchawki i na odwrót.

MIKROFON — rysunek Nr 1.

- A Blok drewniany służący jako podstawa.
- B Walec z waty utrzymujący w miejscu kawałeczki węgla retortowego C.
- C Kawałki węgla retortowego ze starej baterii.
- D Napięta membrana z papieru pergaminowego.
- E Blaszka stalowa służąca jako styk.
- F Pluskiewka.
- G₁ G₂ Kable
- I Bloczek drzewa.
- J Blaszka przymocowana do membrany D.
- K Podziurkowany wierzch pudełka ochronnego.
- L Blaszka służąca jako styk.

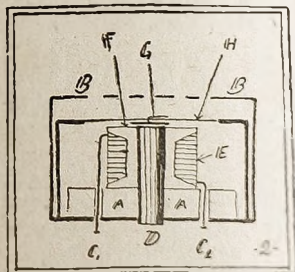
Zadaniem mikrofonu jest przetworzenie drgań głosowych na pulsacje prądu elektrycznego. Osiągamy to przez odpowiednie zmienianie oporu w mikrofonie. Opór jest tym większy, im dźwięk jest słabszy. W naszym mikrofonie prąd z blaszki E przez blaszkę J dostaje się na węgielki C, które w zależności od nacisku membrany D przewodzą prąd gorzej lub lepiej. Po wyjściu prądu z mikrofonu przez G₂ powstaje już prąd pulsujący, o co nam właśnie chodzi. Aby zamienić pulsację prądu z powrotem na dźwięk, musimy użyć słuchawki.



SŁUCHAWKI — rysunek Nr 2.

- A Krażek drewniany z wywierconymi trzema otworami, użyty jako podstawa.
- B Pudełko ochraniające.
- C₁ C₂ Kable.
- D Rdzeń elektromagnesu, składający się z wiązki drutu żelaznego.
- E Zwoje drutu elektromagnesu.
- F Szpulka od nici.
- G Pluskiewka stalowa.
- H Membrana.

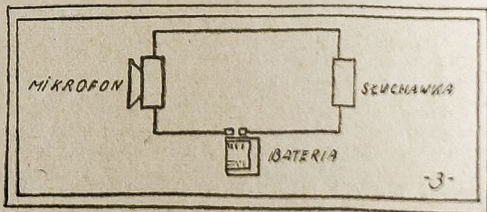
DZIAŁANIE SŁUCHAWKI — Płynący prąd, przechodząc przez elektromagnes, zmusza rdzeń D do przyciągania lub odpychania pluskiewki G, co powoduje dokładnie takie same ruchy membrany, jakie mieliśmy w mikrofonie. Mamy więc ten sam dźwięk.



Wykonanie mikrofonu i słuchawki może być różne. Zależy to od wiadomości technicznych i zasobów czytelnika. Załączone rysunki podają jeden z wielu sposobów zbudowania telefonu i powinny służyć jako przykład raczej niż wzór, którego musimy się trzymać.

Na rysunku 3 schemat połączenia mikrofonu ze słuchawką.

Marek KOSTKA, ǫwilk



K R O N I K A



Uczestnicy zjazdu „Kresowej” w Pańrodku przewodniczący Rady ZHIP. na Wschodzie pułkownik dyplomowany Stanisław SIELECKI

ZJAZD HARCERZY „KRESOWEJ”

Dnia 22 listopada 1944 roku w Predappio odbył się zjazd harcerzy, na który przybyły delegacje wszystkich oddziałów dywizji Kresowej.

Uroczystość rozpoczęto przywitaniem gości przez phm. Pawłaka Felicjana, skierowanym do przybyłych na zjazd: dowódcy Brygady Lwowskiej, plk. N. S. i do przewodniczącego Rady Z. H. P. na Wschodzie plk. dypl. S. S.

Po odśpiewaniu przez zebranych tradycyjnej piosenki *Plonie ognisko* zabrakł głos przewodniczący Rady Z.H.P. plk. dypl. S., wyrażając w krótkich słowach swe zadowolenie z pracy jednostek harcerek, które tyle trudności muszą przezwyciężać na swej drodze.

Krótką gawędą phm. Włodzimierza Ruszkowskiego na temat *Istota harcerstwa* pozwoliła zebranyom zorientować się w celach Związku Harcerstwa Polskiego, w roli jaką w nim odgrywają harcerze — żołnierze i w ich zadaniach, jakie mają w Związku do wykonania.

Po gawędzie ponownie przemówił przewodniczący Rady Z.H.P., który nakreślił szkic ostatnich wypadków oraz militarne perspektywy na przyszłość. Następnie mowa podkreślił, że mimo dużego wyczerpania fizycznego, mimo dużych strat wśród harcerzy — żołnierzy, nie wolno im upadać na duchu, a życiem ich winien kierować optymizm i silna wiera w zwycięstwo.

Oficjalną część zjazdu zakończono wspólnym kręgiem, odśpiewaniem *Wszystko co nasze* oraz wspólną fotografią.

Pozdrowienie harcerskie *Czujaj* i serdeczny uścisk dłoni były dowodem prawdziwie miłej atmosfery, w której rozeszła się brać harcerska z mocnym postanowieniem dalszej pracy nad sobą i do krzewienia idei harcerskiej w swym otoczeniu.

W. Ruszkowski, phm.

INDIE

W dniu 8. XI. 1944. r. powiększyło się grono waliwadzkich zuchów, bo zostały założone 2 nowe gromady „KRECHOWIAKÓW“ i „PSZCZOŁEK“

W dniu 19. XI. 1944. r. zuchy obchodziły uroczyste „święto latawców“. W konkursie na najładniejszy balon pierwsze miejsce zdobył latawiec „DYWIZJON 303“. Usiane latawcami niebo było dowodem ogromnego zainteresowania zuchów.

26. XI. 1944. r. odbyły się wielkie turnieje, na których zuchy mogły się popisać swymi umiejętnościami, a 3. XII. 1944. r. wszystkie zuchy wymaszerowały gromadami poza obóz dla zwiedzenia palmowego gaju.

Dnia 5. XII. do Valivade zawędrował św. Mikołaj, z niecierpliwością oczekiwany przez zuchów. Staruszek w asyście anioła i diabła objeżdżał świetlice, rozdając liczne podarki i mniej liczne różgi.

W wigilię święta M. Boskiej, 7. XII. wszystkie gromady zuchów wzięły udział w uroczystej modlitwie przed kapliczką Niepokalanego Poczęcia.

W dniu 8, 9 i 10 grudnia Krąg Wodzów Zuchowych urządził wystawę Palestyny. Wystawa wzbudziła wielkie zainteresowanie wśród mieszkańców osiedla. Wystawę zwiedziły również wszystkie szkoły powszechne, korzystając z dokładnych objaśnień hm. Peszkowskiego. ELA

AFRYKA

IFUNDA

W czasie od 2-8 października odbył się w osiedlu Ifunda trzeci już w Afryce Wschodniej Centralny Kurs Harcerski. W kursie wzięło udział 81 uczestników z osiedli Kidugala, Morogoro i Ifunda w Tanganyice, zorganizowanych w dwa obozy: obóz harcerek 52 uczestniczki i obóz harcerzy 29 uczestników. Bogaty program kursu obejmował wykłady, ćwiczenia i gry polowe.

Największą grą polową kursu i rzeczywiście udaną był zlot gwiazdzysty w Ifundzie. Instruktorzy i harcerze, wyruszywszy o określonym czasie z osiedli Kidugala, Morogoro i Tengeru, zjechali się w Ifundzie niemal jednocześnie, z dokładnością do 1 godziny. Na warunki komunikacyjne Tanganyiki jest to nie lada wyczyn organizacyjny. Kurs zakończono w dn. 8. x. 44r. wspólnym ogniskiem. Piękną gawędę wygłosił ksiądz dziekan Stapa Wł, kapelan Harcerstwa w Afryce. Po gawędzie grupa harcerzy złożyła przyrzeczenie harcerskie.

Na ognisku byli obecni p. Milczyński, Del. Min, S. Wew., komendant osiedla mjr. Drought, kierownik osiedla inż. Polkowski oraz inni przedstawiciele polskich i angielskich władz miejscowych. Szybkie i sprawne zorganizowanie międzyosiedlowego kursu było możliwe dzięki pomocy dyrektora uchodźców w Tanganyice p. Penningtona i przedstawiciela Del. M. P. i O. S. inż. Kuczyńskiego.

W Morogoro, Ifundzie i Kidugali powstają, względnie są rozszerzane świetlice harcerskie, wyposażane przez fundusz „War Relief Services“.

W Kidugali odbył się w dniach 10-13 X. 1944r. Kurs Nauczycielski o wychowaniu harcerskim, zorganizowany przez Del. Min. W. R. i. O. P.

JOHANNESBURG

Dnia 23 października 1944 roku w Johannesburgu druhna Bożena Trzcinińska wygłosiła w języku angielskim referat pt. „POLISH GIRL-GUIDING“ dla członkiń żeńskiej drużyny im. „First Johannesburg Y. M. C. A. RANGER COMPANY“.

Dodać należy, że i przedstawiciele innych narodów wygłaszają swe wykłady i referaty w tej organizacji. Pierwszy wykład wygłosiła Francuzka. Referat drużny Trzcinińskiej zyskał duże uznanie.

DIGGLEFOLD

Hufiec harcerek w Digglefold liczy 135 osób: 2 drużyny wędrowniczek i 1 drużynę harcerek.

W okresie od 15. IX. 1944, tj. od reorganizacji drużyn, odbyto ogółem 12 zbiórek, na których poruszano aktualne zagadnienia, tak harcerskie jak i ogólnospołeczne. Urządzono 5 ognisk, z których 2 były przeznaczone dla publiczności, 3 natomiast odbyły się w ścisłym gronie harcerek.

Harcerki wszystkich drużyn posiadają już stopień pionierki, drużynowe zaś stopień samarytanki. Ponadto zastępy obu drużyn wędrowniczek specjalizują się w określonym dziale pracy. Dotychczas najsprawniej funkcjonują zastępy: introligatorok, szwaczek, hafciarek, trykotarek, korespondentek i redaktorek, ponieważ te mają najlepsze warunki do wykonywania swej pracy.

Dwukrotnie przeprowadzono bieg na stopnie i sprawności harcerskie, w wyniku którego przyznano ogólnie stopni 39, sprawności 120.

Należy zaznaczyć, że cały ruch harcerski na terenie Digglefold jest otaczany nadzwyczaj serdeczną opieką zarówno ze strony samego Dyrektora p. gen. Zarzyckiego jak również i całego Grona Nauczycielskiego z p. Mazurówną, opiekunką drużyn na czele.

Dziś Harcerstwo w Digglefold objęło już 85% młodzieży gimnazjalnej.

Irena Sobocka, hufcowa

KRĘGI

K R A G S Y R Y J C Z Y K O W

Druhu Komendancie! List, Wiadomości Urzędowe i paczki z książkami otrzymałem. Dziękuję bardzo. Dziękuję też za list z życzeniami. Otrzymałem dużo listów z różnych stron, dużo też wysłałem. Na zbiórce na Nowy Rok przeczytaliśmy je wszystkie. Ciekawsze wklejamy do swojej kroniki, która już się kończy. Ciągłe doklejamy i wzywamy kartki i... mało. Nasza tułaczka przewleka się, a kronika rośnie.

Stoimy w miasteczku, cudnie położonym wśród gór, zawałonych śniegiem. Zima więc w całej pełni, tak jak u nas w Kraju. Przed pasterką o północy zrobiliśmy zbiórkę — podzieliśmy się oplakiem, otrzymanym z 3 kontynentów. Była cudna biała śnieżna noc. W kościele były na pasterkę dzwony. Drogą maszerowały kolumny naszych żołnierzy i gromady Włochów cywilów.

Na Nowy Rok zrobiliśmy zbiórkę a na niej rachunek sumienia swój osobisty i Kręgu. Takie małe pranie jest czasem dobre.

Z Kręgu naszego, jak pisałem, ubyłoby kilku druhow do innych jednostek, na ich miejsce przybyło kilku nowych, dawnych harcerzy z Polski, którzy przybyli do nas z armii niemieckiej.

Zasylam Druhowi i całej Komendzie najserdeczniejsze harcerskie pozdrowienia.

CZUWAJ!

M. Nikou, hufc.

